Nr. 24. Warszawa, dnia 30 Maja (11 Czerwca) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych i półrocznych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

NA ROZDROŻU

Majowe wybory we Francyi, zamiast wzmocnić, jak się rząd spodziewał, większość dotychczasową, przeciwnie ją osłabiły, a ponieważ nie była ona nigdy silną, każde więc choćby najmniejsze poderwanie musi się teraz odbić na niej niemocą. W nowej Izbie, według poważnego dziennika *Temps*, zasiada: republikanów umiarkowanych 225, monarchistów nawróconych 45, monarchistów wytrwałych w wierze 49, republikanów stanowczych wszelkich odcieni 182, socyalistów skrajnych 54 i wreszcie 8 bulanżystów, przechrzczonych na „narodowców,“ 10 antisemitów i 8 wałęsających się bez sztandaru. W liczbie 182 ma być według jednych 104, według innych tylko 91 republikanów radykalistów i 56 republikanów socyalistycznych; resztę (22 lub 35) zajmują republikanie, niechcący przystać jawnie do radykalizmu, ale również i odrzucający sojusz z tak zwanymi „umiarkowanymi“ bezbarwnymi, czyli nierdzennymi republikanami, którzy przecież gotowej już formy republikańskiej się trzymają. Jest to kategorya oportunistów, w słabej mniejszości okazująca szczere przywiązanie do Rzeczypospolitej.

Na pierwszem zaraz posiedzeniu, d. 1 czerwca, przy wyborze prezydenta Izby deputowanych wystąpiła cała niepewność położenia, które z konieczności na większości sejmowej opierać się musi i tem jest gorsze, im ma słabszą pod sobą podstawę. Umiarkowani postawili kandydaturę Deschanela, radykalni i ich sprzymierzeńcy — dawnego swego Brissona, który już nawet i na prezydenta Rzeczypospolitej miał głosy. Wszczął się tumult, który nie pozwolił wyboru zakończyć. Dopiero na drugi dzień, we czwartek, umiarkowani swojego przepchnęli. Dokazała tego większość 272 głosów na 581 ogółu posłów, a skład tej większości odejmuje wyborowi wszelką trwałą, charakterowi rządów republikańskich odpowiadającą, wartość. Za Deschanelem głosowało tylko około 200 republikanów, i to jeszcze owych „umiarkowanych.“ Gdyby nie pomoc odszczepieńców monarchizmu i monarchistów czystych, nie byłoby zwycięztwa i nie byłoby też Deschanela na prezydyalnem krześle.

Wybór prezydenta zawsze bywa w sejmach tą rozprawą bojową, w której stronnictwa mierzą zasadniczo swe siły. Głosowanie na Deschanela ze stanowiska rzetelnej i republikańskiej arytmetyki wykazało przewagę opozycyi nad stronnictwem rządowem, które rząd bez nieprzyzwoitości za swoje uważać może: nad owem umiarkowanie republikańskiem. Wszystkich głosujących było 540; 41 wcale nie głosowało. Za Brissonem dało głos ogółem 268. Sumę tę wytworzyło (po stosunkowem zmniejszeniu wskutek nieobecności) około 175 republikanów stanowczych, 52 socyalistów — razem 227. Pozostałych około 40 głosów dostarczyli: republikanie umiarkowani czystej barwy i posłowie bez sztandaru. Rząd i p. Deschanel mieli za sobą ok. 185 republikanów splowiałych, około 35 nawróconych i tyluż nienawróconych monarchistów, 10 antisemitów i 8 narodowców - bulanżystów. Jeden rzut oka wystarcza na poznanie liczebnej przewagi republikanów rzetelnych nad rządowymi. A co to za obóz i co za republikanizm! Sam sojusz z bulanżystami i antisemitami — dostatecznie go już piętnuje.

Wybór Deschanela był prawdziwie Pyrrusowem dla pp. Faure'a i Méline'a zwycięztwom: wykazał słabość i w tej słabości obnażył. Prysnął czar, dla każdego rządu niezbędny. P. Faure zaniepokoił się; sam p. Méline uczuł gorycz w sławie dwuletnich aż rządów, jakimi żaden z poprzedników jego pochwalić się nie mógł. Zaczęto mówić i pisać to o powołaniu p. Ribota, oportunisty poważnego, to p. Bourgeois, radykalisty — obu już dawniej pierwszych ministrów, to p. Hanotaux, ministra spraw zagranicznych, to wreszcie o rozwiązaniu Izby, wymagającem zezwolenia senatu. Niema jeszcze przesilenia gabinetowego, jest przecież już gorsze może od niego, moralne, ogarniające nietylko gabinet, ale i prezydenturę i całość organizmu Rzeczypospolitej.

Dzienniki nazywają wybór Deschanela pierwszym aktem konania Rzeczypospolitej. Wspomnienie Ludwika Napoleona pod tem słowem pozwala dostrzedz rzecz bardzo poważną. Francya znajduje się w tej chwili na rozdrożu pomiędzy rzecząpospolitą a monarchią. I wówczas także, w r. 1851, byli republikanie umiarkowani, byli i zwolennicy monarchizmu w jedną i w drugą stronę, bonapartyści i orleaniści. Liczebnie silniejsi republikanie, oddaliwszy się raz od naturalnego swego ogniska, wpadli w czeluści stronnictwa wrogiego rzeczypospolitej i stojącego na jego czele spadkobiercy wielkiego imienia. Faure po nikim spadku takiego nie odziedziczył; ale po za nim stoją gotowe żywioły ambicyi, która z jego pomocą, czy bez niej nasycić się pragnie — i jeśli jej wcześnie nie zapobiegną republikanie, choćby nawet celu swego nie dopięła, wojną domową zakrwawi Francyę.

Petersburg, 30 maja. Wczoraj przybył tu emir bucharski. Powitali go wyżsi urzędnicy ministeryów wojny i spraw zagranicz., oraz b. gen. gub. turkiestański, Wrewskij.

Petersburg, 30 maja.

Emir Buchary miał zaszczyt przedstawić się w Carskiem Siole Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu i Jej Cesarskiej Mości Najjaśniejszej Pani Aleksandrze Teodorównie. Podczas posłuchania emir ofiarował Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu order, ustanowiony przez niego na pamiątkę Cesarza Aleksandra III. Po posłuchaniu emir przedstawił Najjaśniejszym Państwu swój orszak i ofiarował cenne podarunki. Następnie Ich Cesarskie Mości Najjaśniejsi Państwo oglądali 9 przyprowadzanych koni w kosztownych rzędach. Po pożegnaniu emir powrócił do Petersburga.

Petersburg, 31 maja. Następca tronu emira Buchary, zaliczony do wojska kozaków tereckich, chorąży Seid-Mir-Alim mianowany sotnikiem.

Petersburg, 4 czerwca. Emir bucharski zwiedził grobowiec Cesarza Aleksandra III i złożył wieniec.

Petersburg, 8 czerwca. Ogłoszono Najwyższy Reskrypt, do emira Buchary, Send-Abdul Achad-Chana: „Wasza Wysokość. W ciągu dwunastoletnich rządów powierzonego Waszej Wysokości przez Boga kraju, Wasza Wysokość stale zachowywałeś szczerą wierność Rosyi, nieustraszenie pracowałeś dla dobra swych poddanych i wszelkimi środkami przyczyniałeś się do pomyślnego rozstrzygnięcia wielorakich kwestyj, związanych z interesami sąsiednich okręgów rosyjskich i bucharskich. Dzięki takiemu postępowaniu, Wasza Wysokość korzystał zawsze z przychylności Spoczywającego w Bogu Rodzica Mojego Cesarza Aleksandra III-go, a jednocześnie pozyskałeś i Moją ku Wam przychylność. Uznając obecnie za pożyteczne połączyć Nasze posiadłości azyatyckie pod władzę jednej osoby, uważam za Swój miły obowiązek wypowiedzieć przekonanie, że istniejące trwale pomiędzy Rosyą a protegowanym przez nią chanatem bucharskim stosunki, i na przyszłość się nie zmienią, tudzież nie będą w niczem naruszone. Pragnąc wyrazić Waszej Wysokości szczególną przychylność, załączam przy niniejszem portret Mój oprawiony w brylanty, dla noszenia na piersiach. Pozostaję dla Was przychylnym i szczerze życzliwym.

MIKOŁAJ"

Petersburg, 4 czerwca. — „Praw. Wiestn." donosi: Wieczorem 29 maja w powiecie Margielańskim okręgu Fergańskiego, krajowiec Iszan-Mahomet-Ali-Chalif ogłosił *hazawat* „wojnę świętą" i na czele licznej bandy ruszył na Andiżan, przeciąwszy druty telegraficzne. Dnia 30 maja przededniem niespodzianie napadł na obóz dwóch rot dwudziestego Turkiestańskiego liniowego batalionu kadrowego, przyczem poległo 22, ranionych zaś 16 żołnierzy. Nie bacząc na zupełnie nieoczekiwany napad, roty szybko przyszły do siebie i odparłszy go, zmusiły bandę ogniem karabinowym do rozsypki. Buntownicy pozostawili 11 zabitych i 8 ranionych. Znaczna część napastników pod ogniem naszej piechoty uciekła w różne strony, reszta z przewódcą bandy cofnęła się, przebywszy Kara-Daryę, pod Chakim Abadum. W pogoń za nimi wysłano rotę i 50 ludzi oddziału strzelców konno z Namangu. Przewódcę bandy z jednym z jego otoczenia już schwytano i są trzymani pod strażą. Smutny ten wypadek, o ile można było wyjaśnić, wywołany został przez fanatyka Iszana i jego bliskich, pozostała zaś ludność zachowuje się zupełnie spokojnie. Z rozkazu Najwyższego fergański gubernator wojenny, który dopuścił do tego, aby wśród głębokiego pokoju utworzyła się banda i napadła na wojska rosyjskie — usunięty został ze swego stanowiska.

Tydzień polityczny. W wojnie dwa nowe fakty pod S. Jago: d. 3 b. m. zrana bombardowanie dwugodzinne i zatopienie statku amerykańskiego „Merrimac" w cieśninie portowej, d. 6 b. m. nowy ogień na okręty i forty. Zatopienie miało być rozmyślnem zamknięciem wyjścia Cerverze. Hiszpanie przyznają „nieznaczne" uszkodzenia portów Morro i Socapa. Drobne tylko oddziały wylądowują na Kubie. Wojsko do wyprawy zbiera się jeszcze i ćwiczy w Tampie, w Mobile, na pomorzu. *Philadelphia Record* donosi o odpowiedzi z Waszyngtonu na zapytanie Anglii: Stany Zjednoczone zawrą pokój, jeżeli Hiszpania zrzecze się Kuby i wyda Portorico za koszty wojenne. *Financial News* dodaje przystań na Filipinach i na Karolinach. Jednoroczne koszty wojenne obliczono na 600 mil. dolarów.

We Włoszech w nowy gabinet Rudiniego z d. 2 b. m. weszli: Capelli — spr. zagr., Bonacci — sprawiedl., Branca — skarbowość, S. Marzano— wojna, Canevaro — marynarka, Cremona — oświata, Rivera — rob. publ., Frola — poczty i telegrafy. Sam Rudini jest min. spr. wewn. i min. rolnictwa. Gabinet ma charakter wsteczny.

Wybory w Serbii d. 4 b. m. dały większość rządowi. Prezes gabinetu Dżeordżewicz spędził w nią rozbitków liberalizmu Risticza, oraz odszczepieńców od stronnictwa postępowego i radykalnego.

Wybory w Belgii wzmocniły ultramontanów.

W wiedeńskiej Izbie deputowanych p. Milewski zażądał umyślnych posiedzeń dla projektów skarbowo-gospodarczych rządu. Lewica niemiecka odrzuciła wniosek. Pozostaje § 14. Izba wciąż radząca, tj. hałasująca nad językiem, ma 17 lub 18 b. m. pójść na wypoczynek. Mówią o dymisyi Thuna. Węgrzy zaczynają ganić Niemców przedlitawskich. W kwotach rząd wspólny chce stosunku 36 : 64 Węgrzy dają tylko 34.

Cesarz Wilhelm otrzymał od ces. chińskiego order podwójnego smoka pierwszego stopnia.

Chiny przenoszą stolicę z Pekinu na południe do starożytnej Hsi-ngan-fu w prow. Szensi. Północ już stracona.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA LUDNOŚCI WIEJSKIEJ.

Wyniki prac warszawskiego komitetu statystycznego tudzież powszechnego spisu ludności, dają materyał, rzucający pewne światło na społeczne i ekonomiczne warunki istnienia robotniczej ludności wiejskiej. Tak np. komitet statystyczny wykazuje, że w Królestwie Polskiem mężczyzna dorosły na wsi zarabia latem 40 kop. dziennie, wiosną i jesienią 26, zimą tylko 19. Kobieta zaś latem 28, zimą tylko 13 kop. Powszechny spis ludności, dokonany w roku przeszłym, stwierdził fakt oddawna widoczny, że kraj nasz pod względem warunków ekonomicznych i ludnościowych zbliżony jest do najbardziej zaludnionych miejscowości Europy zachodniej, a nawet pod niektórymi względami wyprzedził ją. Zaludniony jest gęściej, niż wiele departamentów Francyi, ale natomiast stoi znacznie niżej pod względem kultury i techniki przemysłowej; jest przeważnie rolniczym.

Powyższe cyfry zarobków są przeciętne i w wielu okolicach kraju nie mogą stanowić normy. W niektórych miejscowościach np. są znacznie wyższe, dochodzą do rubla dziennie. Nie dowodzi to wszakże, iż przynajmniej w tych okolicach, zapewniających wyższą płacę, ludność robotnicza cieszy się lepszym bytem. Już sama chwiejność skali płacy, zależnej od pory roku, jest dotkliwem niedomaganiem materyalnem. Latem i wiosną, tj. podczas robót gorączkowych, naj-

---

56)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Włóczęga Sokolski.

Sokolski przyszedł. Mówi, że mu pan pozwolił — zameldowała zrana gospodyni mieszkania.

— Gdzież on jest?

— Kazałam w kuchni zaczekać.

— Proszę, niech wejdzie.

Gdyby śmiech w tym razie nie był natrząsaniem się, można byłoby się roześmiać patrząc na „strój prywatny," wizytowy Sokolskiego.

Rudy, podarty kubrak, dziurawe buty, niezwykle wązkie i krótkie spodnie.

Ubrałem się po cywilnemu, żeby nie robić panu przykrości kapotą aresztancką.

— Niema o czem mówić! Proszę siadać! Będziemy pili herbatę.

Z początku rozmowa nie kleiła się, Sokolski siedział na brzeżku krzesła zażenowany, wyciągnął z kieszeni białą szmatkę, służącą mu za chustkę.

Powoli rozmowa się ożywiła. Jako pochodzący obaj z Moskwy, przypominaliśmy sobie to miasto, teatr i znakomitości przyjezdne.

Obaj zapomnieliśmy, gdzie jesteśmy.

On był gorącym zwolennikiem Possarta, ja — Barnaya. Spieraliśmy się z podniotą, mówiliśmy gorąco, głośno, tak że aż gospodyni kilka razy ze zdumieniem, nawet z przestrachem zaglądała przeze drzwi.

— Czego to oni tak? — zapewne myślała — żeby on przynajmniej panu przyjezdnemu nie nagadał grubiaństwa.

Podyktowałem Sokolskiemu „Notatki waryata," które umiałem na pamięć. Pisząc, serdecznie się śmiał z nieśmiertelnych wyrażeń Popryszczyna.

Rozmowa się zaczęła na temat literatury. Sokolski szczególnie lubi, zna i rozumie Dostojewskiego. Umie na pamięć całe stronice z „Martwego domu."

— Przecież ja sam chciałem napisać „Notatki z wyspy martwej." Naturalnie nie byłoby to samo, co „Martwy dom." Gdzie mi tam porywać się z motyką na słońce! Ale bądź co bądź, chciałem ludziom dać pojęcie, co to jest katorga dzisiejsza. Myślę sobie, sam zginąłem, ale niechże przyniosę jaki kolwiek pożytek. Wielu z ludzi inteligentnych nęci ten temat, ale prędko go porzucają. Tu wszystko porzucają... Wszyscy prawie mają początek... jeżeli ktoś na papierosy nie użył.

Ot, u mnie ocalało. Umyślnie panu przyniosłem. Proszę więc — będę bardzo rad.

Zaczęliśmy mówić o różnicy między „Martwym domem" a katorgą dzisiejszą.

Sokolski mówił gorąco, namiętnie, unosił się, jako człowiek, który to wszystko na własnych barkach przeniósł.

— To nawet nie „Martwy dom!" — zawołał zerwawszy się i żywo gestykulując. Nawet tam coś było. Pamięta pan ten strach, ten wstręt do oprawcy? A tutaj nawet i tego niema...

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł do mnie z wizytą nadzorca osiedleńców; przerwał Sokolskiemu w połowie zdania:

— Skocz-no, bratku, do stajni; powiedz, żeby mi trójkę przysłano.

— Słucham, jaśnie wielmożny panie! —

pilniejszych, chłop zarabia najwięcej; ale jeżeli ma własne gospodarstwo, pracuje wtedy z natężeniem lub krzywdą swoich robót. W rezultacie przez rok okrągły pozostaje w ciężkich warunkach. Zimą ma najmniejszy zarobek, śmiesznie i charakterystycznie mały, a nieraz wcale go nie ma. Pewna część ludności, zwłaszcza w okolicach pogranicznych, radzi sobie w inny sposób: wędruje za chlebem na Zachód, do Prus i Niemiec. Tam istotnie ma lepsze zarobki, nie dorównywające wszakże skali płacy robotników niemieckich, którzy panują nad naszemi uzdolnieniami i intenzywnością pracy. Czy te wędrówki istotnie naprawiają warunki bytu mas, jest rzeczą wątpliwą. W znacznej części robotnicy nasi w wędrówce powrotnej wydają to, co zarobili, nadto przynoszą do kraju nowe nawyknienia i potrzeby rozszerzone, których stale zaspakajać nie mogą, a więc tem bardziej czują uciążliwość swego położenia. W przyszłości wędrówki te może wywrą pewien wpływ dodatni na niektóre strony bytu ludności naszej. Dzisiaj jednak są one tylko krokiem rozpaczliwym, ucieczką przed nędzą. Są one także utrapieniem ziemian naszych, którzy narzekają na brak rąk roboczych. Obok tych wędrówek jednocześnie daje się spostrzegać inny obraz znamienny: Przychodzą do kraju naszego z Galicyi jeszcze więksi nędzarze, którzy za nizką płacę chętnie się najmują do robót letnich. Nie wpływa to dodatnio na skalę pracy zarobkowej.

Na ogół biorąc, faktem jest, że zarobki ludności wiejskiej w ostatnich latach znacznie się podniosły. Jednocześnie wzrosło utyskiwanie ziemian - zarobkodawców na „wygórowane“ wymagania chłopa. Nie dowodzi to wszakże, żeby te zarobki były istotnie wysokie, a wymagania robotników wygórowane. Wzrost ten bowiem wywołała zmiana warunków społecznych i ekonomicznych, a jednocześnie rozszerzenie skali potrzeb ludności. W rezultacie nędza i niedostatek jest niemal w całym kraju zjawiskiem stałem.

Nasi znachorzy społeczni, szukając ulgi, znaleźli tylko dwa środki lecznicze: naprawę warunków bytu stanu ziemiańskiego, tj. podniesienie rolnictwa wielkiego i — „przemysł domowy.“ I jedno i drugie jest istotnie dobre. Ale chcąc tą drogą podźwignąć masy ludności wiejskiej z nędzy i niedostatku, trzeba iść długo, usilnie i energicznie; trzeba wyczekiwać wielu, bardzo wielu zmian w powikłanych warunkach społecznych; trzeba żądać zabiegów zbiorowych, wezwać do pomocy dwie największe potęgi: oświatę i kapitał. „Rolnik bankrut! Rolnik sam nieraz bywa głodny, ucieka od wierzycieli. Czyż on może płacić drożej, niż płaci najemnikom?“ Z takiem zdaniem spotkamy się bardzo często i, w imię bezstronności, musimy przyznać, iż w wielu wypadkach tak jest istotnie. Znaczną część naszych rolników oddawna zaliczyć należy do kategoryi bankrutów. Ci zaś, co mogą płacić lepiej, nie płacą przez „solidarność,“ przez współczucie dla sąsiadów, których mogłoby ostatecznie w przepaść stoczyć „popsucie“ najemnika wyższą płacą u ziemianina, stojącego na mocniejszym gruncie.

Tym sposobem uzależniony wzajemnie byt zarobkodawców i mas pracujących ludności wiejskiej, według znachorów, musi czekać uregulowania i naprawy za pomocą podniesienia rolnictwa, tj. pozostać w stanie dotychczasowym nieograniczoną liczbę lat. Pośrednio z pomocą ma przyjść „przemysł domowy,“ sztuczny wytwór cieplarniany gromadki ludzi, ożywionych dobremi chęciami, którzy ten przemysł domowy rozwijają sposobem domowym, tj. pielęgnują kwiatki pojedyncze w kilku okolicach kraju, dotychczas bez żadnego widocznego oddziaływania na masy. Tymczasem te masy, głodne i stroskane, wymagają ratunku doraźnego, niezależnie od stałej pracy nad ogólnem przekształceniem warunków istnienia. Przedewszystkiem należałoby zwrócić uwagę na te czynniki i zjawiska, które w motywach wszelkich reform i w dyagnozie znachorskiej stale są pomijane. Lud nasz jest z natury leniwy, niezaradny, niepraktyczny, jest poprostu dzieckiem, na co się złożyło wiele przyczyn. Skutkiem tego traci bardzo dużo czasu albo na niepotrzebne operacye handlowe, albo w zupełnej bezczynności. O kilka mil na rynek wiezie mleko, którego albo nie sprzeda, albo sprzeda za taką cenę, która nie opłaci ani czasu straconego, ani kosztów podróży. Będzie leżał na piecu w zimie póty, aż mu kartofli wystarczy. Dopiero przyciśnięty nędzą ostateczną pójdzie szukać zarobku. Liche odżywianie się, tryb życia i jego warunki — to są główne przyczyny owej apatyi i lenistwa, które służą zwykle kamieniem potępienia w dowodzeniach ludzi oświeconych, mających styczność bezpośrednią z ludem. Musi on czekać na cudowne podniesienie rolnictwa lub cieplarniane wytwarzanie przemysłu domowego, mającego charakter więcej roboty dobroczynnej, niż społecznej. Ma, pogrążony w ciemności, czekać jakiegoś zmiłowania bożego. O wzmocnieniu środków oświaty, takiej, która najłatwiejszą drogą—jego rdzennej myśli przenikłaby do głowy i duszy, rozwinęła jego widnokrąg i podniecila energię; o teoretycznem i praktycznem wykształceniu fachowem, o zorganizowaniu środków kultury rolnej, pośrednictwa w handlu racyonalnym i zdobyciu pracy, o masowem rozwinięciu nowych, stałych gałęzi pracy, którąby zajęła czas dotychczas marnowany — o tem wszystkiem nikt dotąd nie pomyślał naprawdę. Nie pomyślano także o ważnych środkach pomocy tymczasowej, która zapewniłaby istnienie masom całym. Mianowicie rozwój kulturalny, ekonomiczny i społeczny naszego kraju domaga się gwałtownie robót na wielką skalę. Są one odkładane do czasu nieokreślonego lub wykonywane cząstkowo, i to w sposób wadliwy. Wiadomo, że miliony różnej kategoryi funduszów bądź leżą bezużytecznie lub są używane niewłaściwie i nieprodukcyjnie, gdy tymczasem nie cierpią zwłoki wielkie roboty w całym kraju, których rozwinięcie dałoby tysiącom ludzi zarobek i wogóle podnosząc kulturę kraju, wpłynęłoby na naprawę

---

zawołał Sokolski i pędem wybiegł z pokoju.

Schwyciłem się za głowę:

— Po cóż to?

Nadzorca patrzył na mnie szerokiemi oczami:

— Jak to po co?

— Czyż nie można było kogo innego posłać, choćby ze względu na mnie?..

Roześmiał się.

— Cóż to pan w humanitarność z nimi się bawi?! Z łotrami? Niechże mi pan wierzy, że to są łotry, łotry, łotry — i nic więcej! Co ma się stanic?

Z Sokolskim widywałem się dość często. Czynnie i chętnie dopomagał mi do poznania katorgi, zbierania pieśni, układania słownika wyrażeń aresztanckich.

Lecz ile razy zaczynałem mówić o czem innem, nie o katordze, on się zżymał i wołał:

— Nie, nie. Nie trzeba o tem... O niczem nie trzeba. Pan odjedzie, a mnie jeszcze ciężej będzie... Nie trzeba!..

Jeden dziwny rys dostrzegłem w Sokolskim. Jakby czegoś nie domawiał... Przyjdzie, posiedzi, pokręci się na krześle, pomówi o błahych rzeczach i wychodzi. Jak gdyby się dławił czemś, co nie może przejść mu przez gardło.

Starałem się rozmowę na to skierować:

— Sokolski! zdaje się, chcecie mi coś powiedzieć? Proszę być otwartym!

— Nie, nie... Nic, nic... Naprawdę nic. Do widzenia... do widzenia!..

Było przykro.

— Sokolski! — zacząłem z pewną trwogą. — Wkrótce wyjeżdżam z Korsakowska. Wiele mi dopomogliście w pracy. Ja przecież za to otrzymuję honoraryum i uważam za obowiązek...

Na twarzy Sokolskiego odmalowało się cierpienie.

— Do pana ktoś idzie... idzie...

Jego język z końcem odgryzionym zaczął się plątać i jeszcze bardziej szeplenić.

Wybiegł z pokoju.

— O, Boże! co za męki! — powiedziałem prawdopodobnie głośno, gdyż gospodyni otworzyła drzwi i spytała:

— Pan wołał? Herbaty podać?

Po upływie pewnego czasu spotykam dobrego znajomego, „adwokata katorgi,“ „głuptasa“ Szaposznikowa.

— Słuchajcie! Jesteście przyjacielem Sokolskiego. On coś ma do mnie, ale ciągle...

Szaposznikow uważnie spojrzał mi w oczy i zaśmiał się:

— „Podstrzelić“ chce wielmożnego pana, ale nie może się odważyć. Chce poprosić o siedem rubli. Tatarzy go naciskają. Majdaniarzowi i innym za wódkę i różne rzeczy winien siedem rubli. Dowiedzieli się, że on do wielmożnego pana chodzi, więc naciskają go: „proś, proś pana.“ Grożą, że go zbiją śmiertelnie. A on się dławi, szelma! Cha, cha, cha! Onegdaj od pana jak odurzony wpadł do więzienia. „Domyślił, się!“ — woła. Cha, cha, cha! W katordze taka delikatność!

— Ależ proszę, proszę, idźcie, dajcie mu zaraz. Tylko nie mówcie mu o naszej rozmowie... Powiedzcie, że ja wam dałem. Zróbcie, jak chcecie...

We wzroku Szaposznikowa na jedną chwilę zabłysło jakieś rozrzewnienie; ale nagle przymrużył oczy i popatrzył na mnie z ironią:

— Pan kogo zarznął?

— Kto? Ja?

— Pan.

— Ja?.. Nikogo nie zarzynałem.

— Nikogo?.. A więc pocóż pana na Sachalin posłano?

I znowu się zaśmiał swoim dziwnym śmiechem, od którego człowiekowi nerwowemu mrowie po ciele przechodzi.

bytu całych mas ludności. Przed kilku laty w wyższych sferach władz był poruszany projekt takich robót publicznych, bez udziału pośredników, spekulantów i wogóle wszelkich ludzi, którzy odgrywając rolę pijawek lub pasorzytów ekonomicznych, pochłaniają te środki, jakie mogłyby zapewnić dobrą płacę ludności robotniczej. Projekt poszedł w zapomnienie, pomimo naglących potrzeb. Warto, ażeby około wydobycia tego świetnego i w znaczeniu społecznem racyonalnego planu, poczyniło zabiegi Towarzystwo popierania przemysłu i handlu.

CELE DZIAŁALNOŚCI LUDZKIEJ.

I.

Nie znając ani istoty, ani sposobu działania czynników zewnętrznych, jakie towarzyszą własnej naszej działalności, mającej na widoku osiągnięcie pewnych, pożądanych przez nas celów i wpływający na jej bezpośrednie i pośrednie, bliższe i dalsze rezultaty; nie wiedząc o tem, które z nich możemy uważać za przyjazne naszym zamiarom, które za obojętne w stosunku do nich, które wreszcie za przeciwdziałające im, przedsiębierzemy przecież bezustannie usiłowania w pożądanym przez nas kierunku z nadzieją urzeczywistnienia naszych celów.

Nie posiadając ścisłej wiadomości o roli owych czynników zewnętrznych, niezależnie od naszej o nich wiedzy i woli i działających jednocześnie z wewnętrznymi, przypuszczamy, jeżeli nie w teoryi, to przynajmniej w praktyce zawsze prawie, że zwłaszcza nasza działalność jest zupełnie dostateczna do usunięcia przeszkód, stojących na drodze ku naszym celom. Innemi słowy, sądzimy, że władza czynników zewnętrznych wobec naszej woli może być zupełnie zniesiona, albo zmieniona do tego stopnia, iż tracą one swój bezwzględny charakter, ulegając naszym chęciom, które zdają się nam być warunkiem, czyli przyczyną zjawisk, szczególnie moralnych, daleko ważniejszą, aniżeli czynniki zewnętrzne, których nie znamy; co wszystko stanowi przypuszczenie, że prawa przyrody w porównaniu z prawami ducha ludzkiego, objawiającemi się w aktach woli, odgrywają rolę podrzędną, zależną i jakoby służebną tylko w stosunku do ostatnich.

Należy wszakże mieć na uwadze, że działalność ludzka jest tylko jednym z pomiędzy wielu innych czynników, składających się na wytworzenie istniejącego porządku rzeczy, odmiennym wprawdzie od ich reszty o tyle, o ile odmienne są od siebie, według naszego rozumienia, logika i mechanika; ale ponieważ wszystkie te czynniki działają jednocześnie i w dodatku w różnych kierunkach, przeto i rola działalności ludzkiej, jako jednego z wielu czynników, sprowadza się w ten sposób do pewnych granic, które są wprawdzie bardzo szerokie; prawdopodobnie z czasem kiedyś będą o wiele jeszcze szersze, ale przy koniecznym warunku poznania rzeczywistej roli wszystkich czynników, a w jej liczbie i wewnętrznych, przez nas samych tylko wyróżnianych od innych.

Oglądając się po za siebie na ubogą przeszłość, zmuszeni jesteśmy podziwiać bezpłodną i wytrwałą pracę milionów istot ludzkich w dążeniu do swoich celów. Przynajmniej z własnego ich stanowiska. Cel ich działalności, zamierzony przez nich w swoim czasie, i jej rezultaty, jakie się z czasem dopiero okazały, są najzupełniej od siebie odmienne. Częstokroć rezultaty są nawet nieporównanie ważniejsze od zamierzonego celu. Wielkie niegdyś przedsięwzięcia, wypływające ze ściśle wyrażonych zamiarów, wywołują dziś w nas tylko uśmiech politowania nad dziecinną zaisto naiwnością projektodawców. Pewność zaś, gorące przekonanie o słuszności i wiara w nieomylność środków, które miały doprowadzić do drobnych, z obecnego naszego stanowiska, aczkolwiek gorąco pożądanych wówczas celów, wydają nam się dziś błahemi i niczem nieusprawiedliwionemi, według naszego rozumienia rzeczy, wymaganiami, możliwemi w swoim czasie tylko przy warunku najzupełniej pierwotnego stanu umysłu — pomimo iż praktykuje się to samo niezmiennie i teraz wśród nas samych — świadczącemi nie tyle o logicznych właściwościach rozumowania, ile o błędnym punkcie wyjścia *), polegającym na przekonaniu, że pożądane rzeczy są nietylko możliwe, ale jeszcze i konieczne z praktycznego, a jedynie rozumne i słuszne z teoretycznego stanowiska. Ze starcia się podobnych, częstokroć sprzecznych dążeń ludzkich powstała rozmaitość dziejowa w szczegółach miejscowych i czasowych przy jednostajności procesu historycznego co do formy.

Ażeby zapobiedz różnego rodzaju nieporozumieniom w dalszym ciągu niniejszej pracy, uważam za konieczne zrobić w tem miejscu zastrzeżenie, że przedmiotem działalności ludzkiej, o który mi chodzi jedynie, jest sam człowiek zarówno pojedynczy, jako też i zbiorowy. Wzmianka ta jest tu konieczna z powodu, że stosunek człowieka do zewnętrzności jest dwojaki, wyrażając się popierwsze w stosunku jego do świata fizycznego wogóle, obejmującego zjawiska nieorganiczne i organiczne (klimatologia i biologia włącznie z kulturą roślin i zwierząt) i powtóre w stosunku człowieka do człowieka. W tym ostatnim względzie ważna jest jego działalność, mająca na celu pojedyncze wypadki, które jako doraźne zdarzenia, jako *odosobnione fakty*, są dlaczegokolwiek pożądane, a z drugiej strony oczekiwane i mające jakoby nastąpić w bliższej lub dalszej dopiero przyszłości ogólne przemiany w społeczeństwie ludzkiem lub w pewnych jego częściach zamierzone i pożądane na większą skalę, zależne od stwarzania warunków, które powinnyby jako przyczyny sprowadzić pewne konieczne skutki w postaci *zjawisk ogólnego charakteru*, zależnych od zaprowadzenia pewnego stałego porządku rzeczy, odmiennego od istniejącego. Tak tedy przedmiotem niniejszej pracy są wyłącznie przemiany w świecie ludzkim, tak zwane reformy społeczne i dążności do zaprowadzenia idealnych stosunków ludzkich, ze stanowiska projektujących je reformatorów — idealnych jeżeli nie bezwzględnie, to przynajmniej jako jeszcze nieistniejących.

Dążenie człowieka do celów, mających na widoku samego człowieka, jak świadczą o tem dzieje, nosi zawsze charakter samolubny. Cele te polegały zawsze na wprowadzeniu w życie, na możliwie największem ustaleniu i rozszerzaniu osobistych upodobań i przekonań, czy to przy szczęśliwym zbiegu okoliczności przez pojedyncze potężne jednostki, czy też przez masy, dążące zawsze do propagandy posiadanych przez nie wszelkiego rodzaju instytucyj, jako wyrazu zbiorowych ich upodobań i przekonań. Zjawisko to jest objawem działania zasady indywidualności, która powstaje powoli przy współ-

*) Podobnie jak u obłąkanych maniaków, np. u szklanych ludzi.

Przestępstwa w okręgu Korsakowskim.

— Do tajgi nigdy inaczej nie chodzimy, jak z nożem za cholewą! — mówili mi katorżnicy.

To lepiej, niż wszelkie cyfry statystyczne, mówi o bezpieczeństwie majątkowem i osobistem na Sachalinie.

Podczas wyładowywania statków katorżnicy nie mają wstępu.

— Wszystko ściągną, co im wpadnie pod ręce.

Mojej gospodyni mieszkania osiedleńcy zdążyli skraść w kuchni pieniądze ze stołu w chwili, gdy się odwróciła, pomimo że u mnie był wtedy ich naczelnik, nadzorca osiedleńców.

— Jaśnie wielmożny panie, proszę im darować!—błagała gospodyni, gdy się znaleźli winni — proszę darować, bo oni podpalą mię.

Przyłączyłem się do jej prośby:

— Proszę dać im pokój, bo istotnie mogą dom spalić.

Naczelnik długo mówił o konieczności kary:

— Nie można! Pod nosem mi śmią kraść! Do czegóż to dojdzie?!

Ale potem energicznie splunął i machnął ręką:

— A niech ich tam dyabli! Przecież istotnie wszystko to z głodu!

Kradzieże i rabunki bardzo są rozpowszechnione w tym okręgu. Ale zabójstwa z celem rabunku zdarzają się tam jakoś rzadziej, niż w innych okręgach.

Na krótko przed moim przyjazdem spełniono tam cztery morderstwa.

Jeden osiedleniec, dobry, pracowity, spokojny, zarznął z zazdrości swoją towarzyszkę i otruł się sam.

Kobieta ze stanu wolnego otruła swego męża, włościanina z wysłanych, za to, że on nie chciał jechać na ląd stały, gdzie się udał jej „luby,“ wygnaniec-osadnik.

Pewien osiedleniec zarznął towarzyszkę i nadzorcę.

Ostatnia sprawa wybornie maluje obraz okropnych stosunków wzajemnych na Sachalinie.

„Towarzyszka“ związała się z dozorcą.

— Pójdę!

— Nie, nie pójdziesz! — powściągał ją towarzysz - osiedleniec.

W końcu pewnego razu dozorca sam przyszedł i odebrał ją osiedleńcowi.

— Źle z nią się obchodzisz!

Osiedleniec dopędził ich na drodze, zabił i strasznie się pastwił nad trupami, pokrajał nożem.

„Nacieszył swoją duszę.“ *)

Wreszcie czwartą zbrodnię spełniono w samym „posterunku.“

Ofiarą padł dostatni pisarz, z wysłańców-katorżników.

Miał pieniądze. Jego towarzyszka sprowadziła morderców.

Nie przyznaje się; ale gdym z nią rozmawiał sam na sam w celi — gniewnie rzekła:

— A pocóż na nich, na tych dyabłów patrzeć? Przecież nielegalny. Pożyje razem, skończy termin i tyle już go widzieć!

Gdzież my, kobiety, na starość bez grosza się przytulimy! ..

I po chwili dodała:

— Nie zabiłam. A gdybym nawet zabiła, to bym wcale nie żałowała za grzech. Każdy o sobie powinien pomyśleć.

Oto „obyczaje“ sachalińskie!

*) O tym fakcie była mowa w jednym z poprzednich rozdziałów. (*Przyp. tłom.*).

(C. d. n.)

działaniu niezliczonego mnóstwa dodatnich i ujemnych wpływów i jakkolwiek często niewyraźna, jest wielkością trwałą, posiadającą tendencyę istnienia nadal we własnych granicach i oddziaływania we właściwy sobie i jedynie możliwy dla niej sposób na inne podobnež indywidualności. Rzecz jest zrozumiała sama przez się, że indywidualność ludzka, czy to pojedyncza, czy zbiorowa, społeczna, może działać na inne tylko ze stanowiska własnego, czyli swoich upodobań i przekonań, a więc ze stanowiska samozachowawczego, samolubnego, gdyż wszelkie inne są przedewszystkiem dla niej zupełnie nieznane i niezrozumiałe, a przeto i niemożliwe; a gdyby nawet były możliwe, to miałyby charakter usiłowań samobójczych, świadczących o utracie cech indywidualnych, o asymilacyi z inną indywidualnością, co szczególnie ze względu na społeczne warunki życia, np. narodu, jest wypadkiem tylko biernie możliwym.

Niepodobieństwem byłoby zatrzymywać się tu dłużej nad przykładami zjawisk podobnych, a tem bardziej nad ich szczegółowym rozwojem; właściwe dla nich miejsce znalazłoby się w historyi, traktowanej na wzór Laurenta, chociaż nie z jego stanowiska; dość będzie przypomnieć sobie losy wielkich mocarstw Wschodu, po których zostały tylko gruzy zwalisk wśród pustyń bezludnych; losy starożytnego Rzymu, po którym zostały tylko wspomnienia; krzyżowe wojny, wstrząsające w przeciągu kilku wieków wszystkie narody europejskie, które, rozminąwszy się najzupełniej z bezpośrednim swym celem, dały zupełnie niespodziewane rezultaty, mianowicie wzrost władzy królewskiej wobec upadku znaczenia panów feodalnych; losy władzy papiezkiej, jako instytucyi, dzierżącej klucze niebieskie, które się okazały nieprzydatne do odmykania zagadnień ziemskich; głośne dzieje walki islamizmu z chrześcianizmem, które pociągnęły zamiast upadku chrześciaństwa, jedynie przeniesienie nauki ze wschodu do tonącej w mistycyzmie ówczesnej myśli europejskiej; smutną sławę Napoleona I, który zamiast zniwelowania ludów europejskich, spowodował swemi awanturniczemi wojnami przebudzenie się ich ducha narodowego, tj. przyczynił się do rezultatów wręcz przeciwnych zamierzonym.

Wszystkie te potężne ruchy, wstrząśnienia, wzruszające istniejący porządek rzeczy, przeszły bez trwałych rezultatów bezpośrednich, chociaż pośrednie ich i co więcej negatywne w porównaniu z zamierzonymi celami skutki są ogromnego znaczenia, nietylko ze stanowiska praktycznego, ale głównie z teoretycznego; pouczają nas, iż dążność do wyłącznego panowania pewnej jednostronnej idei lub systemu nad innemi jest zarazem warunkiem ich upadku i tem względnie prędszego, im energiczniejszą jest sama ta dążność. Ich zaś wzrost, poprzedzający ten upadek, jest dowodem istnienia potrzeby jakiegoś, w pewnym, mniejszym lub większym stopniu, lecz bynajmniej nie wyłącznego ich udziału w życiu rzeczywistem, wespół z innemi ideami lub systemami, któreby na się wzajemnie oddziaływały, któreby się nawzajem ograniczały. Fakty te pouczają nas oprócz tego także nie o tem, co robić należy, ale raczej o tem, czego nie należy. Nie jest to zresztą wcale mało, gdyż jeżeli będziemy posiadali wiadomość o tem wszystkiem, czego nie należy czynić, stanie się jasnem samo przez się, co czynić można i należy.

Tak się ma rzecz w stosunku do następstw, które są skutkiem zdarzeń, dorażnej ludzkiej działalności, mającej na widoku pewne bliższe, przypuszczalnie prędkoosiągalne cele. Powtarza się toż samo i w stosunku do ciągłych i trwałych zamiarów ludzkich, skierowanych ku zaprowadzeniu w społeczeństwie pewnego stałego porządku, obiecującego nam jak największą sumę szczęścia. Wystarczy tu także kilka przykładów.

Wspólne ludziom potrzeby urzeczywistniają się przy pomocy odpowiedniej im instytucyi. Organizacya tych ostatnich jest zewnętrznym wyrazem i dowodem działania wymagań, które są przyczyną ich powstawania, czyli uorganizowanych środków zadosyćuczynienia ludzkim potrzebom. W ten sposób instytucye ludzkie dają formę, której treść stanowią potrzeby. Że jednak potrzeby ludzkie, pozostając same sobą, ulegają licznym przeobrażeniom i co więcej rozwojowi w kierunku jak najłatwiejszego i najsprawiedliwszego zadosyćuczynienia, ich los dzielą również i powstałe z wiekiem instytucye. Będąc bowiem kiedyś odpowiedniemi swojemu celowi, tracą z czasem ten swój charakter i stają się zupełnie z nim niezgodnemi; istnieją wszakże pomimo to niekiedy nadal i wnoszą niewypowiedziany nieład do stosunków ludzkich, usiłujących znaleźć swój wyraz w instytucyach dodatkowych i pomocniczych działających jednocześnie i obok dawnych obumierających, bo pozbawionych już całkiem lub częściowo dawnej swojej racyi bytu. Np. podział społeczeństwa na kasty, klasy lub stany. Coś podobnego możliwem jest dzięki działaniu logiki faktów jednocześnie z działaniem logiki myśli. Fakty bowiem mają swoją własną, myśl zaś ludzka swoją prawidłową, niezawsze z sobą zgodne. W podobnym zatargu są i muszą być konieczne wszelkie nowo tworzące się i powstające dopiero instytucye o szerokim zakresie działalności, pojawiające się dzięki świadomej inicyatywie społecznej.

(C. d. n.).

Feliks Bogacki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Swawola.

W prasie naszej upowszechnił się zwyczaj pisania powieści z numeru na numer. Jakkolwiek talenty wyjątkowe omijają niebezpieczeństwa tej metody tworzenia mniej lub więcej szczęśliwie, wygładzając zręcznie sprzeczności i związując porwane wątki, odbija się ona jednak na artyzmie ich prac ujemnie. Autor, oddający swoje dzieło do druku dopiero wtedy, kiedy ono jest zupełnie wykończone, pisze tylko w chwilach odpowiedniego nastroju i zdrowia, nie ulega żadnemu musowi, żadnej egzekucyi komornika redakcyjnego, ogląda swój utwór w całości i usuwa zeń wszelkie usterki, które w niej występują wyraźniej. Inna sprawa z robotą cząstkową i terminową. Tu nie można czekać lepszego usposobienia, odpoczywać, zmieniać tego, co już zostało utrwalonem w druku; tu trzeba łatać, sztukować i często snuć dalej nić niepoprawionego błędu. Kilka dni kataru lub bólu głowy zepsuje nieraz powieść. Wszakże chęć szybkiego zarobku, a nadewszystko urządzenia sobie zewnętrznego przymusu do pracy, podtrzymuje ten fatalny zwyczaj, który obecnie zaczyna się wyradzać w swawolę. W jednym z dzienników możemy często spotykać wzmianki, rodzaj listów gończych za autorem, który rozpocząwszy drukować powieść, przerwał ją, wyjechał za granicę i ani myśli kończyć. Nie wiemy, co tu bardziej podziwiać i karcić: czy lekceważenie własnego utworu, czy lekceważenie zobowiązania względem redakcyi, czy wreszcie lekceważenie czytelników, traktowanych jak dzieci, którym się obiecuje dalszy ciąg bajki, gdy będą grzeczne. Każda dbała o swą godność redakcya zwykła kryć wewnętrzne kłopoty; jej więc abonenci nieraz ani się domyślają, jakie ona musi pokonywać przeszkody i na nią wyłącznie zlewają swoje niezadowolenie. Sądzimy jednak, że w takich wypadkach, zwłaszcza gdy swawola przeciąga się zbyt długo, należałoby ujawniać winy niesumiennych współpracowników, co może doprowadziłoby ich do porządku. Albo też zastosować środek jeszcze skuteczniejszy: nie rozpoczynać druku prac autorów lekkomyślnych, nie posiadając całości rękopisu.

Dla Abdery.

Gdybyśmy, jak starzy Grecy, mieli swoją Abderę, z pewnością 5-kopiejkowa książeczka p. F. Piotrowskiego p. t. „Czem jest posąg?“ — używałaby w niej szczególnego szacunku. W każdym razie niedorzeczniejszych od niej byłoby bardzo niewiele. Autor występuje bezwzględnie przeciw stawianiu posągów, „złotych cielców,“ gdyż 1) tego, co one mówią, można „dowiedzieć się z książek,“ 2) plac lub ulica „nie jest miejscem dogodnem do rozmyślań,“ 3) robienie posągu przez rzeźbiarza, za pieniądze, przypomina robienie sukni u krawca. Te głębokie argumenty przekonywają nas tylko o tem, że nie na ulicy, nie na placu, ale nawet w ciszy podbiegunowej autor nie umiałby się zdobyć na „rozmyślania,“ do których zwyczajni ludzie są zdolni nawet przy turkocie kół maszyny. Bo przecie nie potrzeba ani geniuszu, ani mocnego skupienia umysłu, ażeby pojąć, że z książek nie mogą dowiadywać się wielu rzeczy ci, którzy czytać nie umieją, że ciągłe przypominanie czegoś naocznym widokiem utrwala wrażenia i uczucia, że za poezye lub kompozycye muzyczne ich twórcy również otrzymują pieniądze itd. Wprawdzie p. P. żąda, ażeby ludzie nie robili obstalunków, tylko to, „co czują, myślą i rozumieją — napisali, narysowali, wygrali lub wyrzeźbili *samoistnie*,“ ale nie podał sposobów takiej zbiorowej twórczości. „Posągi, wykonywane na zamówienie — powiada on — nie są właściwemi dziełami sztuki, lecz tylko zwykłymi wyrobami rzemieślniczymi.“ Za tę 5-kopiejkową estetykę skazalibyśmy go na surową karę: ażeby obejrzał nagrobek Medyceuszów, M. Anioła lub freski Rafaela, wykonane na obstalunek papieżów.

„Zasłużeni.“

Gdyby Sokrates zmartwychwstał i odbył wędrówkę po świecie, chcąc się przekonać, o ile ludzkość poszła w głąb swojej duszy, o ile udoskonaliła się wewnętrznie, społecznie i estetycznie; gdyby po drodze przypadkiem zajrzał nad Wisłę — pomyślałby, że w nas się odrodził jego naród, że w chwili obecnej święcimy uroczystości olimpijskie: Wyścigi konne, wyścigi cyklistów, otwarcie przystani wioślarzy, zjazd drużyn śpiewaczych (kaliskiej, łódzkiej, radomskiej, warszawskiej i wieluńskiej) w Łodzi. Ta chwila bieżąca musiała się odbić oczywiście na szpaltach pism, których zadaniem jest „aktualność.“ Tygodniki ilustrowane i dzienniki poświęciły nietylko osobne, szerokie artykuły i rysunki tym uroczystościom ale nawet wydały numery specyalne (*Rozwój*,“ *Goniec łódzki*), umieściły portrety prezesów, wice-prezesów, dyrektorów, sekretarzów drużyn, ich życiorysy drobiazgowe, wreszcie podobizny wszystkich chórzystów. Drużyny śpiewacze istotnie są bardzo sympatyczne; muzyka zaś i śpiew odrywają nas trochę od oschłości i szarzyzny

życia. Ale przecież nie są one celem i rdzeniem naszego istnienia duchowego i materyalnego. Tymczasem prasa takie stanowisko zajęła, jak gdyby po za sportem, teatrem, muzyką i śpiewem nie było nic ważniejszego i głębszego. Buduje ona ciągle piedestały swoim bohaterom i wznosi ich tak wysoko, ażeby ogółowi nigdy z oczu nie schodzili. Jeżeli niema świąt artystycznych, jubileuszów, to się znajdzie zawsze inna sposobność. Niech artysta lub artystka dostanie od swoich wielbicieli wieniec albo kosz kwiatów, niech zagra na własny benefis, a znajdzie w pismach swoje portrety i życiorys, setki już razy podawane. Niech teatr odnowią, niech w nim schody przerobią, a będziemy oglądali w pismach ilustrowanych nietylko portrety baletnic, śpiewaczek, aktorów, lecz nawet woźnych. Jak to nazwać i określić? Czy odzwierciedleniem potrzeb i ideałów tej garści kronikarzy i fotografów chwili, czy też ich schlebianiem owej kategoryi czytelników, których nic więcej nie zajmuje i zająć nie może?

„Parszywe owce."

Pod tytułem powyższym *Przegląd farmaceutyczny* zamieścił następującą charakterystyczną notatkę: „Pracownicy warszawscy, podejmując sprawę reform w aptekach tutejszych, liczyli na zupełną solidarność z kolegami, pracującymi na prowincyi. Byli pewni, że wymagania, podane właścicielom do uwzględnienia, są wyrazem całego ogółu zawodowców i działali w przekonaniu, że gdy pp. właściciele w odpowiedzi na postawione im żądania zechcą zarządzić zmianę personelu na korzyść pracowników prowincyonalnych, ci albo wcale propozycyi nie przyjmą, albo również postawią za warunek wprowadzenie żądanych zmian. Tymczasem stało się inaczej. Kilku kolegów z prowincyi (Łódź, Lublin), korzystając z wynikłego nieporozumienia niektórych właścicieli aptek z personelem aptecznym, najniespodziewaniej zajęło miejsca tych ostatnich, na warunkach dotychczasowych i z powodu tego właśnie podejścia, silnie zaznaczyło wrogie swe usposobienie do miejscowych ich współtowarzyszów. Podobnego wystąpienia kolegów prowincyonalnych nikt się nie spodziewał, to też wywołało ono powszechne oburzenie i stało się czynem godnym publicznego napiętnowania. Fakt ten czarną plamą potępienia zawiśnie na całem życiu tych „parszywych owiec."

Laboratoryum cukrownicze.

Nasz przemysł cukrowniczy zdobył się nareszcie na udoskonalenie techniczne, które ma doniosłe znaczenie w dziedzinie rozwoju i postępu produkcyi i zarazem otwiera nowe pole pracy dla fachowców. Mianowicie fabrykanci postanowili wspólnemi siłami założyć laboratoryum centralne i stacyę doświadczalną cukrowniczą. Zadaniem ich będzie: *a*) Analizowanie wszelkich produktów w zakresie technologii cukru i uprawy buraków na żądanie tych wyłącznie cukrowni Królestwa, które należą do grona założycieli, jak również i osób postronnych. *b*) Badanie i wyszukiwanie w produktach spożywczych wszelkich surogatów, używanych do zastąpienia cukru buraczanego. *c*) Przedsiębranie prób i badań zarówno technologicznych, jak i fizyologicznych, mających na celu rozszerzenie spożycia cukru we wszelkich jego postaciach. *d*) Badanie wartości nowych pomysłów w zakresie fabrykacyi cukru i spożytkowania odpadków, oraz kontroli wytwarzania. *e*) Ekspertyza i udzielanie pomocy pracowniom chemicznym w cukrowniach i rafineryach Królestwa, sprawdzanie naczyń i przyrządów kontrolujących, przez te cukrownie nabywanych, oraz badanie wartości materyałów pomocniczych, do fabrykacyi cukru używanych. *f*) Popularyzowanie wiadomości, mogących się przyczynić do ulepszenia fabrykacyi, zniżenia kosztów przerobu, uproszczenia kontroli; zbieranie typów cukru itp.

Na utrzymanie tej nowej instytucyi cukrownie zobowiązały się płacić po 0,15 kop. od puda produkcyi w ciągu lat pięciu, w roku zaś bieżącym wnieść składkę podwójną na koszty założenia.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE SOCYOLOGICZNE.

Prawo Ammona: miasta ściągają do siebie długogłowców. — Poszukiwania, potwierdzające to przypuszczenie. — Włochy i Hiszpania przedstawiają obraz odmienny: miasta ściągają krótkogłowców. — Badania Beddoego w Anglii. — Wnioski.

Lapouge oświadczył w jednej z prac swoich, że ludzie będą staczali w przyszłości krwawe wojny z powodu drobnych różnic w wymiarach czaszki. Czy dojdzie do sprawdzenia tego paradoksu, wątpię; ale rzecz pewna, że zapasy teoretyczne w tej kwestyi już się rozpoczęły. Idee oryginalnego antropologa wywołały w nauce namiętną dyskusyę i dały pobudkę poszukiwaniom, które winny uwydatnić rolę dziejową pierwiastków rasowych, składających narody Europy obecnej. Jak wiadomo, Lapouge uważa typy antropologiczne za niejednakowo uposażone w energię: blondyn długogłowy, w przeciętnem ustępujący może krótkogłowcowi pod względem uzdolnień umysłowych, odznacza się większym temperamentem awanturniczym, który pcha go wciąż naprzód po drodze nowych idej i czynów. Dowody, przytaczane na poparcie tej tezy, nie posiadały mocy dostatecznie przekonywającej. Badania D. Ammona, rozpoczęte zresztą niezależnie od pomysłów badacza francuskiego, zwróciły uwagę na możliwość znalezienia dowodów potrzebnych. Prowadząc studya antropologiczne nad ludnością arcyksięztwa badeńskiego, spostrzegł on wśród mieszczan większą obfitość długogłowców, niż na wsi, jak to poniżej przytoczona tablica wykazuje w procentach:

	długogłowców (poniżej wskaźnika 80) %	krótkogłow. (powyżej 85) %
Karlsruhe, miasto	33	16
„ wieś	13	32
Heidelberg, miasto	37,5	4
„ wieś	17	25

Fakty te naprowadziły Ammona na wniosek, że w arcyksięztwie badeńskiem odbywa się dobór nieustanny, polegający na tem, że żywioły bardziej długogłowe, jako energiczniejsze, opuszczają wieś dla poszukiwania zarobku i lepszych warunków bytu w miastach. Nie poprzestał on na tem, lecz nadto zadał sobie pytanie, co się dzieje z wychodźcami w murach miejskich. W tym celu poddał analizie skład rasowy coraz dalszych pokoleń wychodźców ze wsi. Procent ten wynosił:

a) dla długogłowości (poniżej wskaźnika głownego 80):

	wieśniacy %	wychodźcy miejscy %	synowie wychodźców %	synowie osób ur. w mieście %
Karlsruhe	12	14	26	33
Fryburg	12	12	[illegible]	43

b) dla krótkogłowości (powyżej wskaźnika 85):

Karlsruhe	38	33	18	12
Fryburg	38	31	27	14

Innemi słowy, miasto ściągnąwszy do siebie żywioły długogłowe, dokonywa wśród nich jeszcze dalszego doboru z coraz większym uszczerbkiem dla krótkogłowców, zanikających w zamęcie miejskim. Swoją drogą, Ammon zaznacza fakt ciekawy, mianowicie, iż długogłowcy miejscy są barwy ciemniejszej, niż wieśniacy wogóle. A ponieważ ciemna cera, włosy i oczy stanowią jeden z zasadniczych przymiotów brachycefalizmu, przeto badacz niemiecki dochodzi do wniosku, iż typ blondynowy może być uzdolniony do walki o byt w mieście tylko w razie pewnej domieszki krwi krótkogłowców, takiej, ażeby nie oddziaływając na kształty czaszki, nadać inną cerę skórze i barwę włosom.

Antropolog austryacki, dr. Weisbach, doszedł do takich samych wyników niezależnie od Ammona i Lapouge'a (który przedsięwziął podobne studya we Francyi), nawet nie wiedząc o ich pracach. Mianowicie stwierdził on, iż Wiedeń (1892 r.) posiada ludność bardziej długogłową, aniżeli wieś. Wskaźnik szerokości czaszkowej wynosi dla Austryi górnej 82,7, dla dolnej 82,2, dla Wiednia zaś 81,2; tuż pod Wiedniem znajdują się okręgi wiejskie z wskaźnikami 83 i 84.

Poszukiwania te skłoniły innych antropologów do rozpoczęcia pomiarów specyalnych, mających na celu wyświetlenie istotnego stanu rzeczy, tj. czy wyniki badań wyłuszczonych wskazują zjawisko powszechne lub może dotyczą objawu czysto miejscowego, który niesłusznie uogólniono. W liczbie ich na pierwszem miejscu należy postawić studya dr. Collignona, który badał kwestyę w sposób bardzo systematyczny i przez dłuższy przeciąg czasu. Znalazł on dla miast, w których dokonywał pomiary, że zawierają zawsze większą obfitość żywiołów długogłowych, aniżeli przyległe okolice wiejskie. Wskaźnik szerokości czaszkowej np. wynosi dla:

	miasto	wieś
Bordeaux	79,58	81,81
La Rochelle	81,45	82,37
Pau	82,16	84,11
Tarbes	85,06	86,85

Zwłaszcza sam Paryż daje zjawisko bardzo ciekawe. Wskaźnik szerokości czaszkowej dla departamentu Sekwany, a więc i Paryża, wynosi 81,6. Tymczasem departamenty ościenne dały cyfry 82,6, 82,9, 82,5, 83,1, 82,3. Przeciętna dla całej Francyi wynosi 83,6, i tylko w Normandyi wskaźnik posiada wartość nieco niższą, niż dla stolicy. Jednocześnie w obronie tezy Ammona i Lapouge'a wystąpił profesor antropologii w Chicago, Closson, który, opierając się na tem, że Amerykanie w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza zaś pochodzący z dzielnic zachodnich, są wyższego wzrostu, niż Europejczycy i że wśród białej rasy wysoki wzrost idzie w parze z długą budową czaszki, wyprowadził wnioski o naturze wychodźctwa pod względem rasowym. Usiłuje on dowieść, iż emigracya do Stanów Zjednoczonych wyodrębnia z pośród ludności naszej części świata żywioły najbardziej ruchliwe — długogłowe; że wreszcie w Stanach Zjednoczonych pod wpływem tych samych czynników odbywa się dalszy dobór i że kwiat energii i zarazem długogłowości sadowi się na dalekim Zachodzie. (Tutaj przypomnimy rezultaty poszukiwań dr. Kopernickiego nad Polakami, mieszkającymi na Rusi. Grupa ta jest obficiej uposażona w żywioły długogłowe, aniżeli w rdzennie polskich dzielnicach Galicyi).

Atoli nie wszystkie badania potwierdziły wiarogodność spostrzeżeń, iż miasta stanowią ogniska dla grupowania długogłowców. Studya dr. Liviego we Włoszech, profesora anatomii F. Oloriz w Hiszpanii, wreszcie J. Beddoego w Anglii

wyciągnęły na jaw fakty albo zupełnie przeczące lub o tyle obojętne, iż nie dają żadnego poparcia wysnuwanej teoryi o wyższości dolichocefalizmu — pozornie, bo ostatecznie można je wytłomaczyć w sposób, niepodważający założenia Lapouge'a i Ammona.

Livi ogłosił rezultat swoich poszukiwań w r. 1896, dokonanych na 300 tysiącach żołnierzy. Znalazł on, iż prawo Ammona sprawdza się we Włoszech północnych, których ludność należy do rasy alpejskiej, tj. krótkogłowej. Z nielicznymi wyjątkami mieszczanie posiadają niższy wskaźnik szerokości czaszkowej, aniżeli okoliczni wieśniacy. Wynosi on dla Medyolanu 83,8, dla okolicy 84,3; dla Florencyi 81,7, dla prowincyi 83,1. Osiągnięte więc rezultaty nie różnią się od wyników, otrzymanych we Francyi, arcyksięztwie badeńskiem i w niemieckich dzielnicach Austryi. Natomiast zgoła inaczej dzieje się w prowincyach południowych, gdzie żywioł śródziemnomorski, tj. brunet długogłowy, stanowi główny i niemal jedyny pierwiastek rasowy ludności. W większości wypadków mieszczanie są tam bardziej krótkogłowi, aniżeli wieśniacy, tj. rozmieszczenie kształtów czaszki jest wprost odwrotne, niż dla północy półwyspu Apenińskiego. Wskaźnik szerokości czaszkowej w Messynie stanowi wartość 79,8, na prowincyi zaś 78,8; w Bari cyfry odnośne są 82,4 i 80,7; w Palermo 79,5 i 79,1. I nietylko taka różnica pomiędzy północą a południem Włoch istnieje dla miast, lecz także dla młodzieży uczącej się. W tych dzielnicach, w których wskaźnik szerokości czaszkowej wynosi 84—85, znajduje się zaledwie 7% długogłowców wśród włościan, cyfra zaś ta wśród młodzieży szkolnej dochodzi do 15%; tymczasem tam, gdzie wymieniony wskaźnik równa się 80 lub 81, włościanie liczą 30% długogłowców, uczący się zaś tylko 22%. Ammon, a za nim Moufang usiłują wyjaśnić to osobliwe zjawisko różnicą, która istnieje w składzie rasowym ludności: na północy mamy do czynienia z mieszaniną przeważnie krótkogłowców z blondynem długogłowym, który ilościowo stanowi tam procent nieznaczny, na południu nieliczni krótkogłowcy skrzyżowali się z typami bruneta śródziemnomorskiego, także posiadającego długą budowę czaszki. Przymioty duchowe różnych tych typów są niejednakowe. W Lombardyi długogłowiec blondyn wydziela się z pośród ludności wiejskiej, pchany awanturniczością swego temperamentu, i osiada w miastach. Brunet śródziemnomorski, acz z natury rzeczy nadaje się do życia miejskiego, nie ma przecież dostatecznej wytrwałości, ani inteligencyi, ażeby zamienić miasto na ognisko postępu i kultury. Rolę tę spełnia więc krótkogłowiec, w tym razie zajmujący na południu to samo stanowisko społeczne, co długogłowy blondyn w Europie środkowej i w Lombardyi.

Oloriz dokonał podobnych studyów nad ludnością siedmiu miast w Hiszpanii: Madryt i Barcelona przedstawiają to samo zjawisko, co Włochy południowe, mianowicie mieszkańcy ich są bardziej uposażeni w długie czaszki, aniżeli otaczające je dzielnice wiejskie, zresztą, dodajmy, różnica jest nieznaczna; Grenada i Walencya zbliżają się do miast Włoch południowych, tj. krótkogłowość jest tam większą, niż w okolicy; wreszcie Sewilla, Saragossa i Malaga przedstawiają tam tak drobne odchylenie, iż niepodobna brać ich pod uwagę. Ammon stara się dać wyjaśnienie tym faktom takie samo, jak dla Włoch, ale niepodobna oprzeć się wrażeniu, iż wywody jego odznaczają się pewnem naciąganiem. Z drugiej strony metoda, której Oloriz się trzymał, jest dość wadliwa, tak iż nie można uważać wyników jego poszukiwań za stanowczo podważające tezę badacza niemieckiego.

Zasługują również na uwagę badania J. Beddoego nad ludnością Anglii. Co do wskaźnika szerokości czaszkowej, kraj ten stanowi przestrzeń bardzo jednostajną, wahania w przeciętnem mieszczą się pomiędzy 77 a 79 dla pojedynczych hrabstw i w Szkocyi spadają do 76. Nastręcza się pytanie, jaki wpływ miasta wywierają na zaludnienie, tak jednolite pod względem przymiotów czaszki. Poszukiwania F. Galtona wykazały, iż co do wagi i wzrostu mieszczuchy ustępują tam wieśniakom. Natomiast J. Beddoe, co do wskaźnika szerokości czaszkowej, nie znalazł żadnej dającej się ocenić różnicy pomiędzy mieszkańcami miast i wsi, pomiędzy warstwami wyższemi a niższemi. „W narodzie nawskróś germańskim— pisze z tego powodu Ammon — niepodobna oczekiwać, ażeby warstwy wyższe odróżniały się wskaźnikiem szerokości czaszkowej. Niema tam różnic rasowych, lecz tylko wyższość indywidualna lepiej uposażonych od przyrody nad tymi, którzy są gorzej obdarzeni." Komentarz ten D. Ammona jest zupełnie nieuprawniony; jeżeli bowiem kształty czaszki służyć mają za oznakę pewnej energii, to trudno zrozumieć, dlaczego po za pewnemi granicami przestają działać. Swoją drogą, Beddoe znalazł pewną różnicę, mianowicie, iż warstwy wyższe posiadają wyższej wartości wskaźnik, co świadczyłoby o obfitszej wśród nich obecności pierwiastku krótkogłowego i, jak sam Ammon przyznaje, „korzystnym jego wpływie duchowym." Badacz niemiecki pociesza się jednak, że „chodzi tam tylko o kilka dziesiętnych." Ale i tak podkreślana przez niego wyższość Paryża nad departamentami sąsiedniemi co do większej obfitości długogłowców i niektórych miast francuskich nad okolicami ościennemi i Medyolanu nad prowincyą wynosi także tylko kilka dziesiętnych. Co w jednym razie ma stanowić dowód przekonywający, w drugim ma być obojętne. Nie rozumiemy w nauce takiej podwójnej buchalteryi. Dodajmy, że Houzé spostrzegł coś podobnego w Belgii, mianowicie że warstwy wykształcone są bardziej krótkogłowe. Ammon usiłuje osłabić doniosłość tego faktu, oświadczając, iż w ludach długogłowych domieszka krótkogłowa sprzyja rozwojowi intelektualnemu, ochładza „gorącą krew" blondyna.

Tak się przedstawiają dotychczasowe rezultaty poszukiwań antropologicznych nad naturą wychodźctwa. Przypuściwszy, że dalsze badania nie zmienią charakteru faktów, należałoby mniemać, iż prawa, rządzące stroną rasową tego zjawiska, są odmienne stosownie do składu ludności. Tam, gdzie długogłowy blondyn zmięszał się z krótkogłowym, wychodźctwo do miast lub do kolonij wydziela pierwiastki dolichocefaliczne, choć pewna domieszka krótkogłowości wywiera wpływ bardzo dodatni — zwyciężają bowiem w walce nie czyści długogłowcy, ale mieszańcy, mający czaszkę blondyna; w okolicach, w których ludność składa się z krótkogłowców i brunetów długogłowych, emigracya ogarnia pierwszych; wreszcie w narodach długogłowych, miasta i warstwy wyższe zawierają nieco większy procent krótkogłowców. Chodzi tylko o to, jak dalece należy przyjąć fakty, podawane przez Lapouge'a, Ammona i in., jako ostatecznie stwierdzone i powszechnie obowiązujące w tej lub innej formie. Pewna powściągliwość może być korzystną *).

*) Literatura przedmiotu: *Annee sociologique*, oraz *Revue internationale de sociologie*, Marzec 1898.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Marya Zabojecka: *Dusza.* Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1898, str. 102.

Anatole France, jeśli się nie mylę, trafnie zauważył kiedyś, że, chcąc być zupełnie szczerym, krytyk powinienby z całą otwartością powiedzieć: „Panowie! zamierzam mówić o sobie z racyi Shakespeare'a, Paskala lub Goethego; jest to doskonały pretekst." Trafność tego spostrzeżenia głośnego zwolennika i wyznawcy subjektywizmu w krytyce nigdzie może tak bardzo nie rzuca się w oczy, jak u nas, gdzie, z nielicznymi wyjątkami, krytyków niema prawie, a mimo to, czy raczej może wskutek tego, tak często spotkać się można z ryczałtowem potępieniem jakiegoś autora, dlatego tylko, że utwory jego nie przypominają niczem utartych szablonów i wzorów, że się dopasować nie mogą do miary rozbierających je umysłów, że są wyrazem nowych potrzeb ducha, nowych, nieopatentowanych jeszcze przez powagi miejscowe, kierunków literackich i artystycznych.

I niema nic zabawniejszego nad widok takich powag krytycznych, wydających z namaszczeniem kapłańskiem wyrok potępienia na utwór prawdziwego talentu, który wcześniej czy później wywalczyć sobie potrafi uznanie u czytelników i właściwe miejsce w piśmiennictwie. Nie przeczuwają one, że ślina, której nie szczędzą ocenianemu autorowi, na ich głowy spadnie niebawem, że jadowite żądła ich stalówek, nie szkodząc tamtemu, podpisują bezwiednie akt przyznania się ich samych do ignorancyi i krótkowidztwa ideowego lub nawet do ślepoty zupełnej, akt abdykacyi wobec rzesz czytających z nieprawnie zajmowanych stanowisk.

Nie dziwimy się wcale, że wzruszająca spowiedź wrażliwej, głęboko czującej duszy, pełnej subtelnej tęsknoty do światów wymarzonych, którą zadebiutowała w beletrystyce naszej nieznana w niej dotychczas p. Marya Zabojecka, nie trafiła do przekonania naszych Arystarchów przysięgłych: niema w niej przecież ani miejsc, nadających się do zamiany w obszernych streszczeniach na obfitą ilość kopiejek „od wiersza," ani płaskich i pospolitych uczuć, ani utartych, szablonowych poglądów i myśli. Tym razem jednak „krytycy" nasi, którzy w pewien sposób pisali o „Duszy, byli przynajmniej o tyle przezorni i ostrożni, że pod głębokiemi uwagami swemi i spostrzeżeniami, przeplatanemi tem klasycznem u nas: „nie rozumiem," pod wypowiadanemi półgębkiem pochwalami i szczodrą dłonią szafowanemi radami — zapomnieli, ku niewątpliwej krzywdzie piśmiennictwa, pomieszczać swych cennych i zasłużonych nazwisk. Wielka szkoda!

Nie myślę wmawiać w czytelnika, że niewielka, wytwornie wydana książka p. M. Zabojeckiej, złożona z sześciu melancholijnych urywków, które poezyami prozą zatytułować by można, gdyby nazwa ta nie wyszarzała się już nieco przez zbyt często a nie zawsze właściwe użycie — jest zbiorem arcydzieł pierwszorzędnej wartości literackiej. Niewątpliwie jednak są to rzeczy, pisane z talentem, malujące w sposób artystyczny pewne stany, pewne nastroje marzycielskiej, dalekiej od pospolitości duszy, i jako takie zasługują na życzliwsze przyjęcie, niż pierwszy lepszy tom wierszyków lub nowelek, napisa-

nych w wolnych chwilach między balem a rautem, między kwestą wielkanocną a wyścigami, przez jakąś rozkapryszoną jedynaczkę o ptasio - pensyonarskim móżdżku.

Oto zaraz z pierwszego szkicu („Firenze“) dowiadujemy się, że autorka lubi i umie słuchać cichych, melodyjnych rozmów morza z samotną jakąś, zbłąkaną chmurką, zakłócanych, niestety, zbyt często obecnością tych, „którym się zdawało, że wraz z lunch'em, obiadem i dobrze opłaconem mieszkaniem kupili słodką ciszę wieczorów południowych i opalc, rozsypane po niebo, i tajemnicze szepty gajów oliwnych, i miękie wywczasy marzącej po dziennych trudach Przyrody...“ Widzimy dalej,że rozumie i odtwarza tęsknoty dusz wybranych, a jednak opuszczonych i cierpiących, tęsknoty za czemś nieuchwytnem, nieznanem, czego nieraz określić niepodobna, co jednak tak drogiem się zdaje: „za ziemią, która nie ma nazwy, za ciszą, która nie jest ciszą nocy letnich, za śmiechem, w którym niema codziennej radości, za snem, który dalszym jest od jawy, niż ja od ciebie, Matko!“

W ciche wieczory czerwcowe („Kilka kartek z dziennika“) autorka wyciągała ramiona ku obrazom, które, spływając jakoby z zaświatów, zdawały się przemawiać do niej głosem własnych jej marzeń serdecznych. A w marzenia te, „dobre, ciepłe marzenia,“ tyle wkładała słońca i kwiatów, tyle duszy i tyle sił gorących, że wobec wiosny, raz w marzeniu przeżytej, „maj istnienia“ pozdrowił ją „bladem słońcem jesieni.“ Tem może tłomaczyć należy to proste, a takie smutne zarazem i takie wymowne zakończenie „Kilku kartek z dziennika“: „Zmęczona jestem. Gdybyś był przyszedł wcześniej, byłbyś mnie może uniósł wirem twego rozmachu i byłbyś leciał ze mną przez życie, jak huragan leci przez bór z gałęzią zerwaną... Tyś przyszedł późno — ja zaś tymczasem wrosłam w ziemię głęboko, bardzo głęboko i czułam, że przytłacza mię brzemię bolesnych myśli i przemyślanego szczęścia — brzemię, którego nie zmiecie i nie rozwieje żadna wichura. Czułam się ciężką i nieruchomą, jak kamień cmentarny, i nie chciało mi się rozpoczynać na nowo życia...“ „Nie dla mnie już loty miłości... Wzleciałabym może ostatnim wysiłkiem i rozbiłabym się myślą, znowu myślą, o pierwszą skałę... Nie dla mnie te bzy białe i purpurowe róże, nie dla mnie szalejące tony twoich pieśni, nie dla mnie słowa rozpalone, jak zorza, i odurzające wszystką wonią wiosny... Jesień, drogi mój, jesień... Za późno... Tylko weź mi z serca ten żal, ten okropny, niemilknący żal...“

Możnaby mnożyć przykłady i urywki bez końca. Oto np. w następnym szkicu („Dusza“), od którego zbiorek cały nazwę otrzymał, artysta chodzi po ścieżce i szuka... duszy, duszy ludzkiej, którą widywał nieraz w gorączkowych pół-snach ciężkich, czerwcowych nocy, która tylokrotnie zawieszała nad nim tajemnicze i niewiadomo skąd idące drżenia, którą czuł wszędzie, a której uchwycić nie mógł nigdy... Nie znalazł jej ani w skargach lasu, ani w oddechach ziemi, ani w łonie wód, ani nawet wśród ludzkich siedzib, gdzie go nazwano szaleńcem. „Odnajdywał wprawdzie tu i owdzie świetlane ślady jej myśli, słabe echa tej mowy, której wymarzony obraz niósł i pieścił w sercu; odnajdował jakieś blaski, które może z jej wypłynęły źrenicy i słyszał czasem szlochania, które wstrząsały nim, jak gdyby były jej płaczem. Lecz jej samej, całej, wielkiej, nie było nigdzie...“ Znalazł ją wreszcie po latach wielu... na cmentarzu. Lecz gdy, spragniony jej mowy, wyciągnął do niej dłonie z prośbą błagalną: „Chodź, droga, siądź przy mnie, tu, tu na mogile i mów, mów, mów!“ — ona wskazała tylko smutnym ruchem zamknięte usta, zdjęła z głowy wieniec przylaszczek i, włożywszy mu go na skronie, znikła. Była niema.

Jest to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych ustępów w książce p. Maryi Zabojeckiej. Podobne miejsca znaleźć by można i w „Bajce“ i w „Święcie serca,“ i zwłaszcza w prześlicznych głosach ciszy („Co mówi cisza?“), okrywającej znużone gwarem świata głowy skrzydłami swemi i będącej rozmów ludzkich z duszą samotną „białym aniołem stróżem.“ Przypuszczamy jednak, że zdołaliśmy już przekonać czytelnika, iż autorka „Duszy“ odsłoniła w swej książce serce „więcej warte— mówiąc słowami nieśmiertelnego twórcy „Beniowskiego“ — niż to, co za nie dawali na świecie ci, co kupują serca na tandecie.“

Władysław Bukowiński.

LITERATURA ANGIELSKA.

Jerzy Gissing.

Pośród zalewu powieści, przeznaczonych do handlu księgarskiego i które mają zwykle na celu opowiedzieć mniej więcej interesującą anegdotę w sposób znośny, tylko rzadko już można znaleźć w Anglii dzieło należące do literatury.

W szeregu pisarzy, dbałych o piękno stylu, o harmonię kompozycyi, o prawdę psychologiczną — obok Meredith'a, Hardy'ego, Caine'a i kilku innych postawić należy Jerzego Gissinga. Zajmuje on zresztą miejsce zupełnie odrębne pośród swych towarzyszów po piórze. Nie chce przedstawiać głównie charakterów indywidualnych, jak to czynią dwaj pierwsi, ani też rozwijać skomplikowanej intrygi, lecz maluje dużymi freskami różne strony życia społecznego. Jest to kierunek zupełnie nowy w literaturze angielskiej. Wcześniejsi powieściopisarze mieli tu zwykle na widoku intencye moralne, które przedstawiał i bronił jakiś typ indywidualny. Koło bohatera grupowano zwykle szereg osób drugorzędnych, związanych z nim intrygą, mniej więcej prawdopodobną i wdzięczną. Typem takiej powieści pierwotnej jest „Tom Jones.“

Z biegiem czasu forma ta uległa znacznym zmianom. Powieści zaczęto pisać głównie dla miesięczników. Każdy zeszyt powinien był zawierać coś sensacyjnego, bohater indywidualny zaczął schodzić na plan drugi, trzeba było więcej się zajmować osobami, grającemi rolę komparsów, a głównie należało zwrócić uwagę na intrygę, rozsnuwając ją w masie wypadków i epizodów. Z czasem intryga stała się prawdziwą plagą powieści angielskiej. Tej konieczności społecznej ulegli pisarze nawet pierwszorzędni, jak Dickens. Rysuje on wspaniale charaktery, ale powieści porządnie zbudować nie może. Też same przyczyny sprawiły prawdopodobnie, iż taki Prus nigdy nie potrafi sklecić swych doskonałych epizodów w jedną żywą całość.

Braki te wywołane są przez sprzeczność między formą rozwlekłą, wymaganą przez życie współczesne, a starożytne pojęcie intrygi, układanej i wysnuwanej przez samego autora. Wyjście stąd może być dwojakie, albo zastosować formę do treści, pojmując obie w sposób czysto indywidualny i nie licząc się bynajmniej z publicznością, albo też— treść do formy, wymaganej przez czytelników pism. Inaczej mówiąc, ponieważ forma się uspołeczniła, należy i w treści być jak najmniej indywidualnym, a przedstawiać, bez zmiany i w porządku narzuconym przez życie jakąś stronę procesu społecznego.

Zola obrał tę ostatnią i na tem właśnie polega naturalizm — jest to logiczny wynik współczesnego rozwoju społeczeństw. Są pisarze, którzy z rozwojem tym jak najmniej się liczą i w formie i w treści, jak Meredith, starając się tylko o to, aby zawsze pozostawać sobą. Utwory ich sprawiają pewien rozdźwięk w ogólnym nastroju literatury, ale pozostają zawsze całościami organicznemi. Inni znowu, jak Zola lub Tołstoj, w zupełności poddają się wymaganiom społecznym i znowu są w porządku. Inni wreszcie, jak Dickens lub Prus, nieświadomie dają się wyprzedzić rozwojowi społecznemu i piszą po dawnemu, z humorem, z tendencyą, indywidualnie, ale w formie zastosowanej do wymagań pism peryodycznych—wówczas muszą tworzyć dzieła poronione, w znaczeniu konstrukcyi artystycznej.

Gissing poszedł w ślady Zoli, a głównie Tołstoja, u których dzieła obracają się nie koło jakiegoś bohatera lub bohaterki, lecz koło rozwoju jakiejś siły społecznej, przedstawianej w sposób zupełnie nieosobowy. Autora nigdy tu nie widać.

Nie mówimy, aby taka budowa powieści była lepszą od tamtej, syntetycznej; i owszem, osobiście być może tę ostatnią przenosimy, ale każda z nich ma swą logikę wewnętrzną, której bezkarnie przekroczyć nie można; należy więc wybrać jedną lub drugą.

U Gissinga osoby działające są tylko falami na wielkiem morzu społecznem, które jest właściwym tematem jego obrazów. W ostatniej swej powieści, „The Whirlpool,“ przedstawia dziwactwa i nienormalność życia społecznego w Anglii. Londyn jest prawdziwym cmentarzem, pochłaniającym najinteligentniejsze siły kraju. Wszyscy bohaterowie w pogoni za użyciem i zadowoleniem miłości własnej kończą marnie i głównie bezpotomnie. Wiadomo, iż statystyka wielkich miast w zupełności ten wniosek Gissinga potwierdza. W „Emancipated“ autor przedstawia osłabienie więzów religijnych w inteligencyi londyńskiej. Nareszcie w „Evös Rausom“ — głęboką przemianę obyczajową i umysłową angielskiej klasy robotniczej, która czyni, że zwykły pracownik i pracownica nie ustępują w rozwoju osobowości lordowi i wielkiej damie. Powieść rozpoczyna się sceną w wagonie kolejowym, gdzie spotykają się dwaj mężczyzni: 40 i 25-letni. Po chwilowem milczeniu starszy skłonił zlekka głowę i rzekł:

— Przepraszam... Pan nazywa się Hilliard, nieprawda?

— A gdyby tak było? — odparł zagadnięty opryskliwie.

— Nie przypominasz pan sobie mnie?

— Łotrzy są dostatecznie liczni— rzekł młody człowiek, krzyżując nogi — a jednak, panie Dengate, doskonale przypominam sobie pana.

Obelga ciśniętą była z niesłychaną impertynencyą: oszołomiła wprost Dengate'a, do tego stopnia, iż pozostawał przez chwilę z oczyma i ustami rozwartemi; potem krew uderzyła mu do twarzy.

— Gdybym nie był dwa razy starszy od ciebie, mój mały—odparł z gniewem—kazałbym ci żałować tego słowa i nauczyłbym cię na przyszłość trzymać język za zębami. A teraz strzeż się pan! Mamy dobry kwadrans czasu przed sobą i mógłbym zmienić zamiary!

Młody człowiek roześmiał się wyzywająco. Był wysoki, ale słabowity i ręce miał delikatne. Wyrażał się z pewną dystynkcyą; język Dengate'a był mniej wyszukany.

— Skąd pochodzi ten ton obelżywy? — ciągnął po chwili Dengate — wszak mówiłem z panem grzecznie.

— A ja odpowiadałem panu tak, jak uważałem za stosowne.

— Nazwałeś mnie pan łotrem. Co pan rozumiesz przez to?

— Mam zwyczaj dawania tego przezwiska osobom, które bankrutują, aby się uwolnić od długów.

— Doprawdy! — rzekł Dengate z uśmiechem wyższości. To znaczy, jak pan mało znasz świat. Otrzymałeś pewno po ojcu w dziedzictwie ten sposób brutalny mówienia.

— Tak, miał on nieprzyjemny zwyczaj mówienia prawdy!

— Rozumiem, o co chodzi; ojciec pański nie był człowiekiem praktycznym i nie umiał spoglądać na rzeczy z właściwego punktu widzenia. Powiem więc panu tylko to: pomiędzy upadłością handlową a łotrostwem jest cała otchłań. Jeżeli pan się udasz do Liverpoolu i zapytasz ludzi uczciwych o ich zdanie względem Karola Dengate'a, będziesz pan miał lekcyę pożyteczną. Widzę, że jesteś z tych żółtodziobów, którzy mają o sobie wysokie pojęcie. Gdy spotykam takiego — a jest ich niemało w naszych czasach—daję im zwykle potrawę mojej kuchni.

Hilliard uśmiechnął się w sposób ironiczny:

— Musi to być potrawa nie bardzo smakowita."

Przytaczamy tę scenę dla dwu powodów: naprzód dlatego, iż daje pojęcie o sposobie pisania Gissinga, zwięzłym, ironicznym i dobitnym, a powtóre dlatego, iż zaznajamia nas odrazu z głównym bohaterem powieści, Hilliardem. Jest to rysownik fabryczny, zarabiający 50 rs. miesięcznie, sumę, którą się dzieli z wdową po umarłym bracie, poświęcający chwile wolne studyowaniu spraw społecznych i sztuki. Przy całem swem ubóstwie ma on dumę i ambicyę szatańską, jak to widzimy z powyższej jego rozmowy ze znanym bogaczem Dengatem. Ten ostatni, zadraśnięty do żywego słowem Hilliarda, wypłaca mu kilka tysięcy rubli, które winien był jego ojcu.

Otrzymawszy tę sumę, Hilliard postanawia porzucić fabrykę, zająć się architekturą, ku której ma wielkie upodobanie i spędzić ze dwa lata na zupełnej swobodzie. „Gdy potem — myśli — ponownie zaprzęgnę się do mej taczki skazańca, będę ją wlókł z większą filozofią. Moje ciężkie roboty już miały mnie zgnębić bez ratunku. Sądzę, iż teraz to niebezpieczeństwo jest ominięte. Pamięć wolności istnieć będzie w mym umyśle. Przypominać sobie będę, iż przez pewien czas pędziłem życie człowieka i to mnie będzie podtrzymywać."

Przy pierwszym zaraz wstępie w nowe życie Hilliard napotyka typ kobiecy, zupełnie do niego podobny. Ewa Madeley jest panną sklepową, także z położenia swego niezadowoloną, która chciałaby wypłynąć na większe przestwory życia cywilizowanego i wyrafinowanego. Przy takiem usposobieniu mogła z łatwością stać się ofiarą pewnego żonatego pana, który na nią czyha. Hilliard postanawia ją uratować: po wielu staraniach udaje mu się namówić Ewę, aby na czas pewien pojechała z towarzyszką do Paryża. Udzielił im pieniędzy i pojechał z niemi, pozostawiając im zresztą zupełną swobodę.

Na okręcie Hilliard czuł się wolnym, dumnym z siebie, gdyż miał świadomość, iż ratuje od upadku i upodlenia kobietę, którą kochał. Jakkolwiek bezmyślnym wydawał mu się ten projekt z początku, gdy go powziął, teraz on go wykonywał. Warto było żyć chwilę obecną. Istnienie, które mu przyszłość gotowała, miało być smutne, bezbarwne, liche, ale dość mu będzie rzucić okiem po za siebie, aby spostrzedz ten strzępek purpury: wspomnienie szkolnych przygód bardziej będzie dla niego cennem, niż drobne zyski, ofiarowane przez roztropność i wązki egoizm. Oddał się wspomnieniom. Ewa była oddawna przedmiotem jego marzeń. Pochodzili oboje z Birminghamu i tam on spostrzegł u znajomych jej fotografię. Uczyniła na nim takie wrażenie, iż otrzymawszy pieniądze od Dengate'a, pojechał do Londynu, aby ją odszukać. Teraz ją ratował. Dziwna rzecz, iż skłonny był wciąż przedstawiać sobie Ewę w świetle najniegodziwszem dla niej, dając wiarę najgorszym swym domysłom i czerniąc wszystkie rysy jej charakteru, które naprzód wzbudziły w nim sympatyę i uwielbienie.

Jak na zakochanego, rozmyślania Hilliarda przybierały dziwny obrót; zresztą nigdy nie myślał, aby jego miłość nosiła charakter bardzo wysoki i bardzo czysty; był to rodzaj instynktu, który go porywał; nie było to bynajmniej uczucie wzniosłe, ani nawet wzruszenie artysty i poety.

W Paryżu zdrowie Ewy, trochę nadwątlone, poprawiło się, ale Hilliard znajdował ją zawsze zimno grzeczną, jakby związaną, a chwilami nawet uniżoną.

Nie chcąc jej dłużej krępować swą obecnością, wybiera się w podróż do Szwajcaryi z niejakim Nazzamorem, dzielnym Anglikiem, mającym fabrykę łóżek, który po długoletniej pracy poczuł naraz, iż „ma potrzebę zobaczenia góry, posypanej śniegiem."

Gdy Hilliard powrócił ze swej podróży, Ewa spotkała go spokojna, wesoła i szczęśliwa. Miał przed sobą kobietę doskonale piękną, tajemniczą dla niego jeszcze z wielu względów, z którą jednak rozmawiał już po przyjacielsku.

„I pomyśleć tylko, iż jadąc do Londynu, spodziewałem się znaleźć dziewczę melancholiczne, samotne, spracowane — w odzieży prawie ubogiej, chodzące często do kościoła i uciekające przed światem."

Opowiada to Ewie przy pierwszem z nią spotkaniu po powrocie ze Szwajcaryi.

— I byłeś pan rozczarowany?

— Z początku tak... raczej „zdezoryentowany" i zupełnie niezdolny pojąć pani. Teraz jednak nie chciałbym, abyś była inną, niż jesteś.

— A jednak marzyłeś pan o tamtej i tamtą chciałeś znaleźć.

— Tak, przed zobaczeniem pani. Pochodzi to z podobieństwa naszych dwu istnień. Marzyłem o sympatyi między nami i fizyognomią portretu... ale teraźniejsza już mi się bardziej podoba.

— Nie bądź pan pewnym... a jednak kto wie? Lepiej jest być zdrowym i używać życia, niż przybitym i zrozpaczonym. Co jest dziwnem, to że pan miał zupełną racyę. Wyobrażałeś sobie absolutnie tę młodą dziewczynę, którą byłam: smutną, samotną, chodzącą do kościoła... Ale byłam tak chorowitą, iż wszystko zdawało się spiskować, aby sprawić mi cierpienie! Praca bez przerwy, troski, począwszy od lat dziesięciu. Gdybym nie była wyrachowaną, cóżby się ze mną stało? Pracowałabym w jakiemś rzemiośle, aż nędza i wysiłki by mnie zabiły.

Dowiadujemy się z dalszej rozmowy, która jest prawdziwą spowiedzią, iż Ewa czytała książki treści najrozmaitszej, nocami całemi. Marzyła wciąż o Londynie, dokąd wreszcie się udała, otrzymawszy miejsce. Praca jednak była zabójczą. Poznała owego pana, który czynił jej różne propozycye. Była na brzegu przepaści: tylko Hilliard ją uratował. Wyznaje mu szczerze swą wdzięczność.

„Nic nie potrafi zniszczyć we mnie tego uczucia. Zmieniłeś pan me życie i me idee o wszystkiem. Gdy spoglądam po za siebie, nie poznaję się już samej. Masz pan racyę: musiałam być dotkniętą jakąś chorobą, która mi mąciła umysł. Wydaje mi się rzeczą niemożebną, abym ja dokonała takich szaleństw."

A gdy Hilliard wspomina o powrocie do Anglii, Ewa powiada:

„Postąpię tak, jak pan zechcesz."

Jej ton uległy już więcej nie irytował Hilliarda, jak to dawniej było: czuł z dreszczem rozkoszy, iż mówiła to, co jej serce kazało. W jego nieobecności Ewa nauczyła się poważać go, jeżeli nie z uczuciem, którego sobie życzył, to z czemś bardzo zbliżonem; czytał to w zmianie jej oczu.

Wkrótce potem okazuje się jednak, iż Ewa go nie kocha i po pewnych kombinacyach rozstają się, każde w pogoni za swym własnym losem, za życiem szerszem, bardziej inteligentnem i wyrafinowanem.

W ten sposób Gissing wykazuje, iż robotnik i robotnica w Anglii, pod względem wydelikacenia uczuć i rozwoju osobowości mogą nie ustępować w niczem t. zw. klasom wyższym. Powieść pisana jest bez cienia przesady, z elegancyą pełną ironii.

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

DYALOG.

Rozum mówi: w tę przestrzeń bez końca
Niezmużone nigdy wbijam oko,
I odkrywam niewidzialne słońca
I ich drogi, zakryte pomroką;
W nurcie zjawisk podchwytuję prawo
I ogłaszam mową cyfr jaskrawą!

Serce mówi: między ludzkie masy,
Co ze sobą wojują zażarcie,
Niezmużone, śpię po wszystkie czasy
Głos litości, stając jak na warcie
Koję bóle, niszczę walk zawiłość,
I z natchnieniem głoszę światu — miłość!

Rozum mówi: przecz się pyszni serce?
Poryw uczuć rodził jawne zbrodnie,
Wiódł narody całe ku rozterce,
I dorzucał do stosów pochodnie;
Nadal krwią by się poiła miedza,
Gdyby mroków nie rozdarła wiedza!

Serce mówi: czem się rozum puszy?
Rodzi dowód — i zbija dowodem!
Zimny dowód nikogo nie wzruszy!
Ludzkość stąpa za uczuć przewodem...
Nadal krwi by płynęła obfitość!
Gdyby w dusze nie wstąpiła litość!

Rozum mówi: ludzkość prawdy żąda...
Wielka troska o trud myśliciela,
Gdy wyniku doświadczeń wygląda —
Jéj ideał w rzeczywistość wciela:
Z każdym prawdy najbledszym promieniem
Ludzkość zdąża w dal—za przeznaczeniem!...

Rozum mówi: któż zmniejszył cierpienia?
Kto głód koi? Kto choroby leczy?
Nowych bogactw szuka bez wytchnienia?
Kto ozdobił nędzny byt człowieczy?
Gdybym nie szedł z pomocą i z radą,
Ludzkość żyłaby, jak bydląt stado!

Serce mówi: kto prawdę dał światu?
Wziąwszy ludziom najdroższe złudzenia
Mądrość pełna trucizny bez kwiatu,
Dzisiaj marne wygody przecenia!
Gdyby znikła prawda uczuć święta,
Świat by tylko znał dzikie zwierzęta!

Rozum mówi: znam uczuć zawiłość!
Pomnę dziwnych kaprysów wypadki!
Wiem to z dziejów: nienawiść i miłość
To są zawsze dwie bliskie sąsiadki!
Ślepnie człowiek przy uczucia blasku,
Zamiast działać, kręci bicze z piasku!

Serce mówi: znam myśli zawadność...
Nowa prawda zbija starą ostro!
Znam kapryśnych hypotez bezpłodność;
Fałsz i prawda są bratem i siostrą!
Człek szaleje w domań kołowrocie,
Zamiast działać, grzęźnie w wahań błocie!

Rozum mówi: szczęście jest złudzeniem,
Wszystko znika w wiecznej czasu zmianie,
Człowiek biegnie bez przerwy za cieniem;
Jedna wartość jest w świecie — poznanie!
Czerpią tryumf w każdej prawd iskierce,
Choćbym zabił analizą serce!

Serce mówi: w tej ciągłej porażce
Względne prawdy są złudzeniem przecie!
Czem poznanie będzie w tropiej czaszcze?
Miłość prawdą jest jedyną w świecie!
Gdy bez szczęścia człowiek żyć nie umie,
Czemuś wydarł złudzenia, rozumie!?

Leo Belmont.

SPRAWY EKONOMICZNE.

TRADE-UNIONIZM.

I.

Trade-uniony angielskie niejednokrotnie zwracały na siebie uwagę wybitnych polityków i ekonomistów całego świata. Poświęcono im już wiele rozpraw i książek, rzadko jednak umiał się kto zdobyć na sąd możliwie przedmiotowy. Opierano się na faktach, wydartych z łańcucha przyczyn historycznych i miejscowych i na tak ulubionej metodzie „historycznej" szkoły ekonomicznej budowano daleko sięgające wnioski. I rzecz dziwna: trade uniony, liczące tylo dziesiątków lat istnienia i odgrywające, według powszechnego zdania, nader poważną rolę w organizacyi społecznej Anglii, nie miały dotychczas swego dokładnego historyka i krytyka. Zarówno w Anglii, jak i na kontynencie, opisywano i kładziono główny lub wyłączny nacisk na tego rodzaju działalności trade-unionów, jak ubezpieczenie wzajemne członków na wypadek choroby, nieszczęść, starości lub wsparcia pogrzebowe. Po za tem panowało niemal głuche milczenie w nauce, która w angielskich związkach fachowych szukała przedewszystkiem dowodu harmonii społecznej. I ze strony przeciwników kapitalizmu nie ukazała się żadna dokładna historya trade-unionów, ani żaden szczegółowy opis ich budowy i życia wewnętrznego. Bo też niełatwą i nie dla wszystkich dostępną rzeczą było zebranie ogromnego materyału, rozproszonego w ciągu stuletniej historyi trade-unionów w czasopismach, odezwach, broszurach, pamfletach, sprawozdaniach tygodniowych, miesięcznych i rocznych, w cennikach płacy, listach poufnych i okólnikach licznych związków i jeszcze liczniejszych miejscowych ich rozgałęzień itp.

Tej ogromnej pracy podjęli się małżonkowie Webb, a rezultatem ich długich, żmudnych poszukiwań, planowego zestawienia materyałów i krytycznego ich rozbioru jest trzytomowe dzieło — pierwsza dokładnie i możliwie przedmiotowo pisana historya trade-unionów angielskich, rozwoju ich form, życia wewnętrznego i organizacyi. Sumienna ta praca rzuca też pod wielu względami nowe światło na związki pracowników angielskich *).

*) Sidney and Beatrice Webb: 1) *History of trade-unionism*, Londyn, 1894. 2) *Industrial Democracy* (2 tomy), 1897. Wszystkie trzy tomy wyszły jednocześnie w języku niemieckim (tom pierwszy z przypiskami cennymi Ed. Bernsteina) nakładem Dietza w Stuttgardzie; cena każdego tomu 6,50 m.

Zbyt wiele miejsca musielibyśmy zająć, gdybyśmy chcieli roztoczyć przed czytelnikami obraz zawiłych kwestyj organizacyjnych i jeszcze bardziej złożonych zagadnień ekonomicznych, jakie stanęły przed oczami związkowców angielskich w rezultacie rozwoju metod produkcyi wogóle i pojedynczych zjawisk tego rozwoju w rozmaitych gałęziach produkcyi. Gdy ogólny rozwój kapitalizmu spowodował rozwój trade unionów wogóle, to różnorodne, odmienne zjawiska techniczne w poszczególnych gałęziach produkcyi wywołały różnorodność typów w świecie związków fachowych, różnorodność w polityce i w kwestyach bieżących danego okresu. Umowy kolektywne, tyczące się warunków pracy, minimalnego zarobku (płacy *standardowej*) i cenników robót poszczególnych, zawierane między przedstawicielami przedsiębiorców, w tenże sposób zorganizowanych, z drugiej — wywołały nadzwyczaj powikłane kwestye natury technicznej i ekonomicznej. Tak np. rozmaite fabryki w jednej i tej samej gałęzi produkcyi mają często różnorodne urządzenia techniczne, przy których czas pracy, niezbędny do wykonania danego przedmiotu, może być krótszy lub dłuższy. Przy ogólnym cenniku płacy akordowej i przy jednakowo długim dniu roboczym, zarobki z tego powodu mogą być w jednej fabryce niższe, niż w drugiej. Pod tym względem cenniki, mające na celu wyrównanie zarobków (do skali najwyższej) wszystkich członków danego związku, mogą stracić znaczenie. Stąd nader zawiły układ samych cenników, zastosowany do najrozmaitszych sposobów i warunków technicznych, zawiły przynajmniej dla laika w sprawach podobnych. Co więcej, należy tu wziąć pod uwagę, że często powstaje zupełnie nowy sposób wykonania danej pracy lub nowy przedmiot pracy zależnie od ciągłego rozwoju metod produkcyi i nowych wynalazków. Przedstawiciele więc pracowników, zawierający w ich imieniu umowy z przedstawicielami przedsiębiorców i zajęci układaniem cenników płacy, muszą cały czas urzędowania w interesie swych mandataryuszów poświęcać studyom technicznym w danym fachu i stosunkach miejscowych. Muszą oni również znać dokładnie stan rynku w każdej chwili, aby w układach z przedsiębiorcami módz bronić się przeciw ich chęci zniżenia płacy z powodu nizkich cen rynkowych itp.

Inną, znów, niemniej złożoną, jest kwestya *granicy* danego fachu. Aby to należycie zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić dokładnie, że każdy związek składa się z ludzi *jednego i tego samego fachu*, wobec których związek ma zobowiązania pieniężne, np. na wypadek braku zajęcia. Gdy więc rozwój metod produkcyi umożliwi jakiejś grupie przedsiębiorców powierzenie danej pracy innej kategoryi pracowników, niż dotychczas, wówczas część osób, przedtem zajętych tą pracą, traci zarobek i obciąża nadmiernie kasę związkową żądaniami wsparcia z powodu braku zajęcia. (Dla pracowników wykwalifikowanych wsparcia te wynoszą jeden, półtora rubla lub więcej na osobę dziennie). Tak było np., gdy z powodu rozwoju techniki zaczęto budować okręty żelazne zamiast drewnianych. Wskutek tego budowanie powierzono rozmaitym pracownikom, mającym do czynienia z żelazem i stalą, zamiast jak dawniej, stolarzom itp. Zastosowanie terracoty wywołało walkę między murarzami i sztukatorami z powodu zatargu, do kogo z nich mają należeć roboty z tego nowego materyału itd. To współzawodnictwo między pracownikami niewyraźnie odgraniczonych fachów lub z powodu nowej techniki, wymagającej zmiany jednej pracy fachowej na drugą — nie jest wogóle zjawiskiem nowem. Ale dawniej nie było wielkich związków z ich wielkiemi kasami, o które dbać należy. Gdy dawniej walka z takich powodów poprzestawała na pojedynczych pracownikach lub grupach, teraz całe związki występują do walki bratobójczej.

Nie myślimy jednak poruszać na tem miejscu podobnych kwestyj. Dla nas większe dziś znaczenie ma sama historya trade unionów.

Pod nazwą *trade union* autorowie rozumieją stały związek pracowników najemnych w celu utrzymania lub polepszenia warunków pracy. Wychodząc z tego określenia, odrzucają oni myśl, jakoby związki podobnego charakteru istniały już w wiekach średnich. Niektórzy ekonomiści, jak np. Brentano, uważają trade-uniony za dalszy ciąg starych bractw i związków czeladzi z okresu ustroju cechowego. Dowody Webbów, oparte na faktach z życia dawnych bractw, stanowczo temu przeczą. Już w XVIII w. powstaje dążność do tworzenia związków stałych, lecz dopiero w końcu zeszłego i na początku obecnego ruch w tym kierunku staje się niepowstrzymanym. Na ten czas przypada właśnie zupełny zanik metody rzemieślniczej w głównych gałęziach produkcyi, a wraz z tryumfem kapitalizmu giną wszelkie widoki na samodzielne prowadzenie przedsiębiorstwa, jakie czeladnik uzdolniony posiadał. Dopiero z chwilą, gdy wydobycie się ze stanu najemnika jest coraz bardziej nieprawdopodobnem, zaczyna się budzić dążność do tworzenia stałych związków, w odróżnieniu od przelotnych z przemijającymi celami dawnych czasów. Rolę bezpośredniej pobudki do tworzenia trade-unionów odgrywały najczęściej bezrobocia, ale charakterystyką nowych czasów było to, że często związki powstawały ze zwykłej pogadanki koleżeńskiej przy kuflu piwa. Produkcya maszynowa jeszcze bardziej, niż poprzedni stan kapitalizmu — rozbudziła popęd do tworzenia takich organizacyj. Dążenia ich w XVIII w. były jeszcze bardzo proste: związkowcy apelowali do rządu i do Izby gmin, żądając ochrony pracowników najemnych przed nowym porządkiem rzeczy i przeciwdziałania zniżce zarobków. Jedni widzieli główny środek w ograniczeniu liczby terminatorów i dlatego żądali przymusowego wykonywania praw o uczniach, inni żądali znośnych płac, zgodnie z prawem Elżbiety *). Wtedy zarówno czeladnicy warsztatowi, jak i najemnicy fabryczni odwoływali się do ochrony prawnej, na której od wieków uczono ich się opierać. Dopóki każda pojedyncza grupa pracowników wierzyła, że klasa panująca ma zamiar ochronić ich przed skutkami konkurencyi, nie powstawało jeszcze żadne poczucie wspólności interesów. Dopiero zmiana polityki ekonomicznej państwa popchnęła wszystkie grupy przeciwników pod wspólny sztandar, który może być już słusznie nazwany trade-unionizmem.

Myślą przewodnią polityki ekonomicznej rządu angielskiego w wieku XVI było regulowanie produkcyi za pomocą urzędów specyalnych, jak to przedtem czyniły organizacye cechowe: utrzymanie współzawodnictwa przemysłowego w określonych granicach i dbałość o znośny byt pracowników za pomocą prawnego regulowania norm płacy. Ta polityka przetrwała do XVIII wieku i utwierdziła w umysłach poddanych przekonanie, że rząd przedsięweźmie energiczne środki w celu naprawy. Jeszcze w pierwszej połowie XVIII-go wieku, w odpowiedzi na skargi pracowników, rząd na-

*) Prawo Elżbiety z r. 1562 r., ograniczające liczbę uczniów w warsztatach, które nie podlegały prawu cechowemu, oraz nakazujące sędziom pokoju określanie wysokości płacy zgodnie z potrzebami miejscowemi.

kazywał przestrzeganie praw ochronnych przeciw konkurencyi, sędziom pokoju polecał mieć baczenie nad dobrymi zarobkami. W drugiej połowie XVIII wieku zasada wolnej konkurencyi i *laissez faire* rozpoczynało zupełne swe panowanie. Przechodząc od jednej gałęzi wytwórczości do drugiej, rząd angielski stopniowo, lecz szybko, odrzuca wszelką myśl prawnego regulowania produkcyi. Nietylko fabryki, lecz i warsztaty rzemieślnicze uwolniono z więzów prawnych, pomimo niezliczonych podań, napływających od pracowników do izby gmin ze wszystkich części kraju i zawierających żądanie utrzymania praw o uczniach itd. Rząd i parlament widziały konieczność uwolnienia produkcyi z więzów cechowych, lecz innego natomiast środka na coraz większą nędzę dać nie umiały. Prawodawstwa fabrycznego nie znano jeszcze wówczas. Tymczasem w 1814 r. wszystkie resztki dawnych praw cechowych parlament zniósł doszczętnie i nad bezczynnością rządu w stosunkach przemysłowych wogóle i w stosunku pracy do kapitału w szczególności zajaśniała dewiza: wolna konkurencya. Klasa pracowników najemnych ujrzała się więc zupełnie osamotnioną i pozostawioną własnym siłom. Odtąd miała już tylko na siebie liczyć.

W r. 1799 prawo uznało każdy związek za przestępstwo kryminalne, a więc podlegający natychmiastowemu rozwiązaniu i konfiskacie majątku. W 1880 r. wyszło nowe prawo drakońskie przeciw koalicyom, które za wszelkie zmowy, zebrania i związki pracowników najemnych, mające na celu podniesienie zarobków i polepszenie warunków pracy, oznaczało karę więzienia.

(D. n.)

W DALI.

Lublin. Magistrat lubelski otrzymał upoważnienie od wyznaczenia 1,000 rubli z funduszów kasy miejskiej tytułem zasiłku na budowę nowego domu dla sali sierot, pod opieką tutejszego Towarzystwa dobroczynności. Koszty budowy, rozpoczętej w roku przeszłym, wyniosą około 25,000 rs. Dotychczas zebrano połowę drogą składek dobrowolnych i ofiar jednorazowych. W domu zarobkowym, pozostającym od listopada roku przeszłego pod opieką Towarzystwa dobroczynności, w tych dniach otwarto warsztat stolarski, w którym młodzież uboga i ludzie, wałęsający się bez zajęcia po ulicach miasta, uczyć się mogą rzemiosła i znaleźć zarobek. Na podstawie przeprowadzonego niedawno badania warunków zdrowotnych, w jakich są mieszkania dla stróżów, władza gubernialna wydała obecnie rozporządzenie, aby właściciele domów stanowczo nie wyznaczali stróżom mieszkań w suterenach swoich posesyj, lecz na parterze, i to obowiązkowo w pobliżu bramy. Wielu obywateli miejskich zniewolono do zajęcia się tem zaraz. Nadto budowniczowie otrzymali okólnik, zalecający im na przyszłość, przy sporządzaniu planów nowych domów mieszkalnych, stosować się ściśle do powyższego przepisu.

Petersburg. Z powodu utworzenia rady przy general-gubernatorze warszawskim, *Swiet* zamieścił następujące uwagi: „Już przed kilku miesiącami o opracowanym projekcie rady krążyły w Warszawie sensacyjne pogłoski, które przeszły nawet na szpalty pism. Polityukujący Polacy, obdarzeni, jak wiadomo, więcej niż bujną wyobraźnią, opierali niezwykłe nadzieje na tej „radzie administracyjnej." Zależnie od temperamentu i usposobienia przedstawiano sobie tę instytucyę już to w bardzo wspaniałej, już w skromniejszej formie. Wszyscy naturalnie zgadzali się na to, że byłoby najlepiej, gdyby „rada" składała się z magnatów polskich, pracowników społecznych itd. i gdybyjej członkowie posiadali głos nietylko doradczy, ale i decydujący. Wtedy bowiem miałaby ona niejakie podobieństwo do parlamentu, a z tego wyrósłby może prawdziwy „senat" polski. Polska pozyskałaby samorząd na wzór Finlandyi, a od samorządu do zupełnej niezależności już bardzo blizko. „Pomimo całej ponętności takiej perspektywy tylko najśmielsi z marzycieli wierzycieli w możność takiej organizacyi „rady." Ludzie ostrożni, umiarkowani i doświadczeni utrzymywali, że na początek wystarczyłoby utworzyć coś skromniejszego. „Na początek" zadowoliliby się oni taką radą, do której weszliby nietylko sami „kompetentni" polacy, ale i niektórzy urzędnicy rosyjscy; rada taka mogłaby, według nich być na razie instytucyą jedynie doradczą, nieposiadającą jeszcze żadnej powagi administracyjnej. Umiarkowanie to ze strony rozważnych polityków polskich jest rzeczą zupełnie jasną. Gdyby istotnie przypuścić, że rada mogłaby powstać na wyłuszczonych dopiero co zasadach, byłby to dla Polaków bądź co bądź wielki krok naprzód. Pozyskaliby oni możność rozwijania swych poglądów i życzeń w instytucyi, któraby posiadała niewątpliwy charakter urzędowy. Kropla drąży skałę nie siłą, lecz ciągłem spadaniem. Mowy i uwagi polskich członków „rady" wypełniłyby doskonale rolę owych kropli. Toć niepodobna przypuścić, aby miano zapraszać ludzi na zebrania kolegialne i słuchać ich przemówień po to tylko, aby postępować systematycznie wbrew ich opiniom, albo lekceważyć je. Głosy polskich uczestników „rady" nie ukryłyby się przed społeczeństwem polskiem i prasą. Gdyby zaczęto dawać posłuch „radcom," wówczas „patryoci" nabraliby rezonu i podnieśliby głowy; gdyby zaś nie zważano wcale na nich, „patryoci" skorzystaliby z tego celem powiększenia niezadowolenia wśród swoich spokojniejszych i rozsądniejszych współobywateli. Tak czy owak „rada" byłaby pożyteczniejsza dla Polaków, należących do obozu niezadowolonych, wogóle dziś nielicznego, lecz nie dla Rosyi. Rozkaz Najwyższy, rozczaruje prawdopodobnie mocno stronnictwo niezadowolonych i nieprzejednanych. Na pociechę *Swietowi* dodać musimy, że takich naiwnych, którzyby w powyższy sposób roili, niewielu znaleźć można. Przeważna większość naszego społeczeństwa światłego dawno już się wyleczyła z wszelkich złudzeń i zupełnie wytrzeźwiała pod tym względem. — Dzienniki petersburskie donoszą, że władza lekarska położyła wreszcie kres sprzedaży „efedry" czyli „trawy Kuźmicza," której cały wóz można kupić za 3 ruble, a którą w kolorowem opakowaniu spieniężano po 200 rs. za pud. Podczas wykonywania zakazu sprzedaży w Buzułuku zebrano przeszło trzy miliony przygotowanych do rozesłania reklam i kilkaset pudów siana, odważonego po funcie. Okazało się przytem, że większość osób, które dziękowały w ogłoszeniach za wyleczenie „efedrą," oddawna już nie żyje.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Projekt urządzenia seryi odczytów popularnych w uniwersytecie warszawskim jest już opracowany i wkrótce będzie złożony do rozpoznania i zatwierdzenia kuratora okręgu naukowego. W razie postanowienia przychylnego, odczyty zaczęłyby się d. 13 października. W pierwszem półroczu wykładać będzie 35 profesorów (po 6 lub 12 odczytów); każdy kurs będzie zawierał przeciętny wykład głównych zasad danego przedmiotu. Opłata od słuchaczów ściąganą będzie po 1 rs. za 6 odczytów i po 2 rs. za 12. Wykłady odbywać się będą między godz. 6—9 wieczorem. W drugiem półroczu urządzona będzie nowa serya odczytów i dalszy ciąg dawnych. Urzeczywistnienie projektu zależnem jest od tego, czy zapisy (od września) pokryją niezbędne wydatki.

— W artykule p. t. „Kuratorya trzeźwości" zwróciliśmy uwagę, iż instytucye te są organami administracyjnymi, gdy powinny być społecznymi. Obecnie *Warsz. Dniewnik* zaznacza potrzebę jak najszerszego udziału społeczeństwa: „Władze skarbowe mają prawo rachować na jak najszersze współdziałanie ogółu, gdyż monopol spirytusowy dąży ku ochronie niektórych warstw jego od zgubnego wpływu nadużycia trunków. Do osiągnięcia celów monopolu nie wystarcza dozór formalny władz skarbowych; konieczną jest czujna i ustawiczna kontrola społeczeństwa. Tworząc kuratorya trzeźwości ludu, państwo wzywa światłą część jego do wspólnego z rządem i zgodnego oddziaływania na masy mało oświecone. Zaufanie, okazane inteligencyi w innych okolicach Rosyi, nie zawiodło oczekiwań rządu. Kuratorya trzeźwości zdążyły już urzeczywistnić bardzo wiele dobrych zamiarów, działając ręka w rękę z władzami rządowemi, powołanemi ku osiągnięciu tegoż samego wielkiego celu — otrzeźwienia ludu. Miejmy nadzieję, że i w kraju tutejszym działalność kuratoryów dowiedzie trafności rachub rządu na współdziałanie jego dobrym zamiarom ogółu, któremu teraz, po raz pierwszy po długim lat szeregu, nasuwa się możność wzięcia czynnego udziału w pracy, skierowanej ku moralnemu i ekonomicznemu podniesieniu kresów tutejszych. W ostatnich latach przy rozstrzyganiu rozlicznych spraw z dziedziny przemysłu i rolnictwa rząd wielokrotnie zapraszał znawców z różnych warstw społeczeństwa tutejszego. Teraz będzie zadanie o wiele szersze, albowiem rząd liczy na światłych ludzi *wszystkich* warstw społeczeństwa; liczy nietylko na ich radę, lecz i na energiczną, oświecającą działalność."

Szkoły. Do politechniki warszawskiej będą przyjmowani: a) kandydaci, mający świadectwa z ukończenia kursu zakładów naukowych wyższych, którzy zdali egzamin półkursowy na wydziałach fizyczno-matematycznych w uniwersytetach; b) młodzieńcy, którzy ukończyli gimnazya ministeryum oświaty i szkoły realne z ich klasami dodatkowemi (klasa VII); c) wychowańcy innych średnich zakładów naukowych, których kurs uznany będzie w tej mierze za wystarczający. Wykaz takich zakładów sporządzić ma następnie ministeryum skarbu. Komplet studentów w instytucie określa minister skarbu na wniosek rady politechniki. Pierwszeństwo mają kandydaci pierwszej kategoryi (a), którzy też mogą mieć ulgi i co do skróconego terminu ukończenia kursu. Po tej grupie z kolei pierwszeństwo mieć będą ci, którzy najlepiej zdadzą egzamin konkursowy z matematyki i fizyki, oraz egzamin sprawdzający z języka rosyjskiego. Wpis wynosić będzie 100 rs. rocznie, czyli po 50 rs. na półrocze. Liczba studentów, korzystających z ulg w opłatach, nie może przechodzić połowy ogółu słuchaczów. Instytut korzysta z praw przyjmowania zapisów stypendyalnych na zasadach ogólnych. O ile miejsce pozwoli, instytut będzie też przyjmował wolnych słuchaczy, którzy mają płacić po 10 rs. od przedmiotu lub 50 rs. w razie uczęszczania na kilka wykładów, oprócz opłaty za zajęcia praktyczne. Słuchacze, kończący wydziały mechaniczny i chemiczny instytutu, otrzymać mają tytuł inżeniera-technologa, z wydziału zaś inżenierско-budowlanego wychodzić będą ze stopniem inżeniera-budowniczego. Inżenierowie-technolodzy mieć będą prawo zarządzania fabrykami i zakładami przemysłowymi, sporządzania projektów i budowania fabryk i domów mieszkalnych, pozostających w bezpośrednim związku z fabrykami. Inżenierowie-budowniczowie zyskają prawo sporządzania projektów i dokonywania wszelkich robót budowlanych. Nadto jedni i drudzy mają prawo do posad nauczycieli etatowych w zakładach naukowych specyalnych i realnych.

Sądy. W sprawie Mikołaja Kafafowa, inspektora podatkowego, oskarżonego o zdzierstwo, ogłoszono motywy wyroku. Izba sądowa między innemi zaznacza, iż Kafafow w rozmowie poufnej z dyrektorem zarządu Towarzystwa fabryk żyrardowskich wyraził życzenie otrzymania pewnego datku za przemilczenie przed władzą o rzekomych nadużyciach przez siebie dostrzeżonych a spełnianych systematycznie w ciągu lat ośmiu przez zarząd fabryki przy obliczaniu podatku od dochodu. Izba uznała czyn ten ze strony Kafafowa za naganny w najwyższym stopniu, lecz nie mogła się dopatrzyć w nim cech przestępstwa, przewidzianego przez kodeks karny. Do istnienia bowiem zdzierstwa, jako przestępstwa, prawo wymaga gróźb lub nacisku; tego zaś w czynach Kafafowa doszukać się nie można,

a tem bardziej, że skoro zarząd Towarzystwa nadużyć przy obliczaniu podatku dochodowego nie popełniał, to i nie miał powodu obawiać się doniesień oskarżonego.

Konkurs. Rozstrzygnięto konkurs, ogłoszony przez ziemstwo odeskie na budowę gmachu dla tej instytucyi. Komisya konkursowa, wybrana przez petersburskie Towarzystwo budowniczych, przyznała pierwszą nagrodę, 1,000 rs., p. Mikołajowi Tołwińskiemu, który już po raz 22 gi otrzymuje palmę pierwszeństwa.

Wystawy i zjazdy. W Petersburgu otwarto wystawę koni.

Przemysł i handel. Bank państwa podaje do wiadomości powszechnej, iż ukazały się w obiegu fałszywe banknoty 5-rublowe, dość zręcznie podrobione. Publiczność zabezpieczy się od strat, składając papierki pięciorublowe jak najprędzej przy wypłatach lub do wymiany w kasach Banku, które od marca r. b już nie wypuszczają w obieg owych banknotów.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa postanawia wysyłać do krajów rolniczych w Europie i Ameryce swoich agentów. Obowiązkiem ich będzie śledzenie rozwoju, stanu i udoskonalenia przemysłu rolnego w danym kraju, zawiadamianie ministeryum o ulepszeniach i o rynkach, na których różne produkty rolnictwa rosyjskiego mogłyby znaleźć zbyt korzystny.

— Wojna hiszpańsko-amerykańska wywołała znaczne podrożenie wełny i bawełny na rynkach europejskich. Bawełny amerykańskiej jest w zaofiarowaniu bardzo niewiele, tak że ceny muszą pójść w górę. Niektóre firmy zwróciły się po towar do Azyi środkowej.

— Powstaje nowe Towarzystwo zakładów górniczych, żelaznych, mechanicznych i kopalni węgla pod nazwą „Poręba," celem eksploatacyi zakładów i kopalni, należących do poddanego niemieckiego Pringsheima, w pow. Będzińskim, gub. Piotrkowskiej. Kapitał zakładowy 750,000 rs. w 3,000 akcyj po 250 rs.

— Pp. Dziewulski i Lange zakładają w Opocznie (gub. Radomska) akcyjne Towarzystwo wyrobów ceramicznych z kapitałem zakładowym 400,000 rs. w 1 600 akcyach po 250 rs.

Katastrofa kolejowa. Na stacyi Amwrosjewka kolei Jekaterynińskiej d. 6 b. m. pociąg osobowy, idący z Charkowa, podczas gęstej mgły starł się z parowozem manewrującym. Są zabici i ranieni.

Zmarli. Fryderyk Geselschap, znany malarz niemiecki; odebrał sobie życie w Rzymie.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Мая 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.